

JUBILEUSZE

LIPIEC – WRZESIEŃ 2010

Drogie Koleżanki i Koledzy!

W imieniu własnym, jak też Związku Artystów Scen Polskich pragnę wyrazić najserdeczniejsze gratulacje z okazji obchodzonych Jubileuszów pracy artystycznej, złożyć gorące podziękowania za wieloletnią działalność na scenach polskich, pracę artystyczną i pedagogiczną, wspaniałe kreacje. Życząc zdrowia, pomyślności, radości z nadchodzących dni pragnę podziękować za Państwa pracę na rzecz Związku Artystów Scen Polskich.

Joanna Szczepkowska

– Prezes ZASP wraz z Zarządem

75-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 1 sierpnia** – Irena Kwiatkowska,
Zasłużony Członek ZASP;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 1 września** – Halina Michalska,
Zasłużony Członek ZASP;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 15 września** – Krystyna Marynowska-
-Sianożęcka, *Zasłużony Członek ZASP;*
Sekcja Teatrów Dramatycznych

65-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 19 lipca** – Wojciech Maciejewski,
Zasłużony Członek ZASP;
Sekcja Radia, Telewizji i Filmu
- 29 lipca** – Wiesław Michnikowski;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 28 sierpnia** – Manuela Kiernikówna;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 20 września** – Ferdynand Solowski-
-Kijak; Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 29 września** – Sławomir Jarosław Misiu-
-rewicz; Sekcja Teatrów Dramatycznych

60-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 1 lipca** – Henryk Teichert;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 1 września** – Krystyna Łubieńska;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 1 września** – Henryk Zalesiński;
Sekcja Teatrów Lalkowych

55-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 22 lipca** – Zofia Briske-Krajewicz;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 1 września** – Krystyna Sienkiewicz;
Sekcja Estrady
- 1 września** – Romana Szyszko-
-Budycka; Sekcja Estrady
- 26 września** – Jan Plewako,
Zasłużony Członek ZASP;
Sekcja Teatrów Lalkowych
- 29 września** – Stanisław Michalski,
Zasłużony Członek ZASP;
Sekcja Teatrów Dramatycznych

50-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 9 lipca** – Jerzy Woźniak;
Sekcja Teatrów Muzycznych
- 16 lipca** – Krzysztof Kowalewski;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 16 lipca** – Leon Łochowski;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 30 lipca** – Małgorzata Jakubiec-
-Prażmowska;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 1 września** – Antoni Bogucki;
Zasłużony Członek ZASP;
Sekcja Teatrów Muzycznych
- 1 września** – Teresa Wądzińska;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 25 września** – Aleksandra Górka;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 30 września** – Maja Komorowska;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 30 września** – Romuald Michalewski;
Sekcja Teatrów Dramatycznych

45-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 1 września** – Jadwiga Adamowicz;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 1 września** – Mariusz Miklas;
Sekcja Estrady
- 1 września** – Teresa Terka-Zwierz;
Sekcja Estrady
- 1 września** – Julian Ziaja,
Sekcja Teatrów Muzycznych
- 25 września** – Arkadiusz Bazak;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 29 września** – Alicja Wolska;
Sekcja Estrady

40-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 21 lipca** – Elżbieta Krywsza-Fedorowicz,
(scenograficznej);
Sekcja Scenografów
- 22 lipca** – Leszek Piskorz;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 3 sierpnia** – Grażyna Grzechnik-
-Nowak; Sekcja Estrady
- 10 sierpnia** – Andrzej Rozhin
(reżyserskiej);
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 1 września** – Aleksandra Pasternak;
Sekcja Estrady
- 6 września** – Ewa Wolf de Ruttier;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 12 września** – Andrzej Walden;
Sekcja Reżyserów
- 15 września** – Tadeusz Broś;
Sekcja Estrady

35-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 2 lipca** – Marian Fiszer
(scenograficznej);
Sekcja Scenografów
- 6 września** – Jerzy Głybin;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 7 września** – Zbigniew Olszewski;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 21 września** – Anna Krystyna
Torończyk; Sekcja Teatrów
Dramatycznych
- 29 września** – Jacek Bursztynowicz;
Sekcja Teatrów Dramatycznych

Odeszła moja wielka przyjaciółka Halina Friedmannowa. Ta wiadomość dobiła mnie kompletnie. Młodsza ode mnie o rok. Czasem iskrzyło między nami, ale kochał się i nie mogliśmy bez siebie żyć. Nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic. Wiedzieliśmy o sobie wszystko. Rozumieliśmy się. Była znakomitą suflerką. Człowiekiem teatru. Uwielbiali ją wszyscy, począwszy od aktorów aż po personel techniczny, cenili jako profesjonalistkę wysokiej klasy.

Nie mogę uwierzyć, że już Jej nie ma, że nie usłyszę Jej głosu. Nie zobaczę tej twarzy pogodnej i uśmiechniętej. Czasem smutnej, ale rzadko. Nie zatelefonuję do Niej. Nie pójdę tam, gdzie mieszkała od lat. Nie będzie już długich, niekończących się rozmów przy okrągłym stole w kuchni, gdzie na ścianach kredensu przyczepiała fotografie swoich przyjaciół. Przyczepiała też kartki z telefonami. Wśród licznych zdjęć Gustawa Holoubka, Magdy Zawadzkiej, Tadzia Łomnickiego z Marianem Dworakowskim, Jadwigi Jankowskiej-Cieślak, Ewy Decówny, Jej syna Stefana, Jej wnuków i wielu innych, znalazło się także moje zdjęcie. Nie będziemy już mówić o teatrze, o dniu dzisiejszym i o latach, które minęły. O przyjaciółach, którzy ją odwiedzali i o tych, którzy odeszli z tego świata. Nie będziemy się gniewać na siebie a potem przeproszać. Nie będziemy też podtrzymywać się na duchu i pocieszać wzajemnie. Nie będzie wspomnień o naszej młodości i zauroczeniu teatrem. Wszystko to już minęło. Nigdy nie powróci ...

Urodziła się Halinka w Nowym Sączu. Nazywała się Bialikówna. Nigdy nie poznała swojej matki. Umarła przy porodzie. Jej wychowaniem zajęła się siostra matki, która wyszła za mąż za Jej ojca, zawodowego wojskowego. Często powtarzała, że nie była dostatecznie przygotowana do życia. Ani do małżeństwa ani do opieki nad dzieckiem. Sama się tego wszystkiego uczyła. Z naiwnej, głupiej i słodkiej dziewczynki, przeistoczyła się w dojrzałą, mądrą i wyrobioną życiowo kobietę. Służyła radą innym. Do szkoły chodziła w Wadowicach. Potem mieszkała w Krakowie. Do końca życia w Warszawie.

Poznaliśmy się w roku 1951, w Teatrze Nowym w Warszawie, za dyrekcji Jerzego Macierakowskiego. Halina wraz z mężem Marianem Friedmannem, utalentowanym aktorem, człowiekiem nie-

Magda Zawadzka
przychodziła
uczyć się z Haliną
nowych ról,
a Gustaw Holoubek
odpoczywać.



Halina Friedmannowa
(17.02.1921 – 16.04.2010)

zwykłej skromności oraz małym synkiem Stefankiem, przyjechała do Warszawy w roku 1947, zaangażowana do tego teatru przez Juliana Tuwima i Mariana Mellera. Ona na stanowisko suflerki, On – aktora. Ich kilkuletni wtedy syn, jest dziś znanym i wziętym aktorem. Z miejsca zaprzyjaźniliśmy się. Ta przyjaźń przetrwała lata. Nie było dnia, abyśmy się nie widzieli. Kiedy telefonowałem do nich, Marian żartował i mówił „Halina prędko, narzeczony dzwoni”. Zaśmiewaliśmy się do łez. Marian miał ogromne poczucie humoru. Był znakomitą kolegą. Ciepłym i serdecznym. Z Marianem grałem w kilku przedstawieniach. Ze Stefkiem też, bo od dziecka wychował się w teatrze i od dziecka występował, zarówno w teatrze jak i w Polskim Radiu. Warszawa wtedy wyglądała biednie. Nieodbudowana. Mieszkanie na Skrzetuskiego otrzymali Friedmannowie dzięki dyrektorowi Teatru Nowego Marianowi Mellerowi. Dzielił je z córką

wielkiego Stefana Jaracza, również aktorką, Hanką Jaraczówną. Tu przyszła na świat jej córka Magda Jaraczówna. Nianczyliśmy ją. Dziś jest suflerką w Teatrze Dramatycznym. U Friedmannów mieszkali też przez jakiś czas Magda Zawadzka i Gustaw Holoubek. W mieszkaniu na Skrzetuskiego pozostał bujany fotel, na którym siadała wielka Mieczysława Ćwiklińska, kiedy Halina uczyła ją roli i przepytowała. Bez Halusi Pani Miecia nie mogła żyć. Była jej damą do towarzysstwa. Kochała ją jak własne dziecko. Pozostały po niej listy, które pisała do Haliny. Kiedy grała gościnnie w Olsztynie Dulską, w „Moralności pani Dulskiej” zabrała Halinę ze sobą. Postawiła warunek, że Friedmannowa zagra Tadrachową. I zagrała. Stała się w ten sposób, przez przypadek, także aktorką. A zaczęło się od tego, że kiedy w Warszawie grano „Moralność pani Dulskiej” i wykonawczyni roli Tadrachowej nie przyszła na spektakl, Halina nie namyślając się długo włożyła kostium, weszła na scenę i uratowała przedstawienie, w którym oprócz Mieczysławy Ćwiklińskiej grała także Irena Eichlerówna i Włodek Sheybal. Była osobą silną i zdecydowaną. Czasem upartą. Stale powtarzała, że jest góralką i taką ma naturę. Na Skrzetuskiego jeszcze nie tak dawno, Magda Zawadzka przychodziła uczyć się z Haliną nowych ról, a Gustaw Holoubek odpoczywać. Lubił też kuchnię Haliny i chwalił Jej zdolności kulinarne. Oboje kochali Halinę, a Magda traktowała ją jak matkę i słuchała Jej rad. Często ją odwiedzali. Tu godzinami przesiadywała Jadwiga Jankowska-Cieślak i Ewa Decówna, od lat zaprzyjaźnione z Haliną. Tu, co chwilę wpadali sąsiedzi i pytali się czy Jej czegoś nie potrzeba. Służyli Jej pomocą. Jej dom od rana do wieczora pełen był życzliwych ludzi. Nikt z tego domu nie wyszedł głodny. Szczególną troską otaczał ją syn Stefan i jego cudowna żona Krysia. Dbali, aby Jej niczego nie brakowało. A także ich dzieci Filip i Wojtuś. Halina była nie tylko babcią, ale także prababcią. Zawsze Jej powtarzałem, że ma cudowną starość i cudowną rodzinę. W skrytości ducha zazdrościłem Jej takiej rodziny, bo choć mam mnóstwo przyjaciół, czuję się osamotniony. Zdawała sobie z tego sprawę, ale nie zawsze się do tego przyznawała. Często powtarzała, abym się nie martwił, bo jak zabraknie mi sił, Stefan się nami zaopiekuje i będziemy razem aż do śmierci. Szczyciła się przyjaźnią Gucia Holoubka i Magdy Zawadzkiej. Każda rozmowa za-



Nie ma już Zosi Wilczyńskiej. Nie będzie już spotkań z nią. Odeszła na zawsze. Była jedną z najstarszych pensjonariuszek Domu Artystów Weteranów w Skolimowie. Znaną aktorką.

Większość swojego życia zawodowego spędziła w teatrach łódzkich. Osobą inteligentną, dowcipną i pogodną. Mającą dystans do siebie i do otaczającego ją świata. Nigdy nie ujmowała sobie lat. Kiedy zamieszkała w Skolimowie, natychmiast wywiesiła na drzwiach swojego pokoju metrykę urodzenia, aby nikt nie miał wątpliwości, że się odmładza. Dowcipkowała i mówiła zawsze, że tylko Piramida Cheopsa jest starsza od niej. Do końca swoich dni zachowała trzeźwość umysłu i znakomitą pamięć. Mówiono o Niej, że jest „Rajskim ptakiem”. Wchodziła do jadalni ubrana na różowo i mówiła: „Gram dziś Ofelię”. Miała ogromne poczucie humoru. Potrafiła żartować i kpić z samej siebie. Nie znosiła utyskiwania i starczego zrządzenia. Kiedy słyszała narzekania, natychmiast ripostowała: „Starość nie musi być straszna, jeżeli człowiek potrafi zachować dystans”. W czasach PRL-u spotkałem Zosię i Marysię Kaniewską w Bułgarii, w Złoty Piaskach. Odprowadziłem je do hotelu i umówiliśmy się na kolejne spotkanie. Na dobranoc, powiedziały chórem: „Jak przyjdiesz, nie wchodź na górę, tylko zawołaj *Najpiękniejsze*, a my natychmiast się zjawimy”. Urodziła się w roku 1915, w Wołkowysku. Ukończyła Warszawską Szkołę Baletową przy Teatrze Wielkim. Debiutowała w rewii, na scenie jednego z teatrów warszawskich jako girlsa, w roku 1926. Tak nazywano wtedy młode tancerki machające nogami w zespole. W roku 1938 już nie jako girlsa, ale jako jedna z gwiazd wystąpiła w Teatrze „Wielka Rewia” przy ul. Karowej w Warszawie. Po wojnie znalazła schronienie w Łodzi i tam już pozostała. Wró-

Zofia Wilczyńska (05.01.1915 – 16.05.2010)

ciła do teatrów rewiowych ale na krótko. W roku 1946 w Teatrze „Gong” wystąpiła obok Adolfa Dymy w rewii zatytułowanej „Dymy, Humor i S-ka”, a w 1947 r. w „Syrenie”, w komedii Zdzisława Gozdawy i Wacława Stępnia „Colorado”, w reżyserii Kazimierza Pawłowskiego. Ale teatr rewiowy już jej nie wystarczył. Postanowiła spróbować swoich sił w teatrze dramatycznym. Zdała egzamin eksternistyczny i w roku 1951 zaangażowała się do Jadwigi Chojnackiej, do Teatru Powszechnego w Łodzi. Sprawdziła się jako aktorka dramatyczna. Odnosiła sukcesy. Wśród wielu różnorodnych ról, które zagrała u Chojnackiej, znalazła się Juliasiewiczowa i Hanka w „Moralności pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej, w reżyserii Jadwigi Chojnackiej. Dyndalska w „Damach i huzarach” Aleksandra Fredry, Nanon w „Eugenie Grandet” Balzaka, w reżyserii Kazimierza Opalińskiego, Kasztelanowa w „Mazepie” Juliusza Słowackiego i Safona w komedii Artura Marii Swinarskiego „Achilles i panny”. W roku 1958 przeniosła się do Teatru 7.15, a stamtąd, w roku 1966 przeszła do Teatru im. Stefana Jaracza. Grała tam Kliminę w „Weselu” Stanisława Wyspiańskiego, w reżyserii Jerzego Grzegorzewskiego, Agatę w „Gwałtu co się dzieje!” Aleksandra Fredry, a także przez 700 wieczorów hrabinę Cwilecką w adaptacji scenicznej powieści Heleny Mniszkówny „Trędowata”. Kolejną hrabiną, tym razem Puciatycką była w „Popiele i diamentach” Jerzego Andrzejewskiego. W roku 1987 zaproszona na gościnne występy do Teatru im. Adama Mickiewicza w Częstochowie, zagrała brawurowo Madame Bee w angielskiej komedii Petera Cokera „Jesienne manewry”, w reżyserii swojej przyjaciółki Marii Kaniewskiej. To tylko część z Jej bogatego dorobku artystycznego na scenach teatralnych Łodzi. Nakręciła mnóstwo fil-

mów, zarówno przed wojną, jak i po wojnie. Pierwszy raz zetknęła się z filmem polskim w latach trzydziestych ubiegłego stulecia. Jej przedwojenne filmy to między innymi „Biały murzyn”, „Włóczęgi” ze Szczepciem i Tońciem, „Złota maska”, „O czym się nie mówi”, „Moi rodzice rozwodzą się” z Marią Górczyńską i Jadzią Andrzejewską, „Strachy” z Janem Kreczmarem i Józefem Węgrzynem. A powo-



jenne to „Przygoda na Mariensztacie” z Lidią Korsakówną, gdzie wcieliła się w murarkę Natalię, odbudowującą Warszawę, „Autobus odjeżdża 6.20” z Jerzym Duszyńskim, „Godziny nadziei”, „Awantura o Basię”, „Kochajmy syrenki”, „Ziemia obiecana” i wiele innych. Ostatni Jej film o życiu artystów weteranów pt. „Jeszcze nie wieczór”, kręcony był w Domu Aktora w Skolimowie, w 2007 roku. Była jeszcze w doskonałej formie. Potem zaczęła chorować. Traciła siły i gasła w oczach. Coraz rzadziej pokazywała się w jadalni. Do zobaczenia droga Zosiu. Byłaś wspaniałą osobą. Śpij w spokoju.

Witold Sadowy

Halina Friedmannowa

► czyniała się od hymnów pochwalnych pod ich adresem. Przez ten gościnny dom przewinęli się niemal wszyscy warszawscy aktorzy z którymi pracowała: Wanda Łuczycka, Halina Mikołajska, Ewa Krzyżewska, Edmund Fetting, Wiesław Gołas, Henryk Biśta i jego żona Ula. Kiedy

Teatr Nowy zmienił profil i stał się Operetką Warszawską, Halina przeszła do Teatru Dramatycznego. Pracowała tam aż do emerytury. Tam też ugruntowała swoją pozycję znakomitej i bezkonkurencyjnej suflerki. Tekst sztuki zawsze znała na pamięć. Nie musiała zaglądać

do egzemplarza. W każdej chwili ratowała kolegów w potrzebie. Żegnaj Halusiu, moja droga, kochana Przyjaciółko. Tyle jeszcze mieliśmy sobie do powiedzenia. Dlaczego się tak pośpieszyłaś?

Witold Sadowy

Maria Łapińska-Parnell (28.07.1923 – 5.07.2010)



Maria Łapińska urodziła się 28 lipca 1923 roku w Moskwie. Ukończyła Studium Baletowe w Kownie i podjęła pracę w Operze, wkrótce jako solistka i pedagog.

W 1945 roku w ramach repatriacji wróciła wraz z matką do Polski.

W 1946 roku została zaangażowana do zespołu Feliksa Parnella i wkrótce została jego żoną. Od 1947 roku występowała w Operach w Poznaniu, Wrocławiu, Warszawie i w Teatrze Ludowym w Warszawie.

W latach 1954–1962 związana z Operą w Łodzi jako primabalerina, a także pedagog tańca klasycznego w Szkole Baletowej i w Studio Baletowym przy Operze. Równocześnie była kierownikiem i pedagogiem w Operetce w Łodzi.

Mistrzowsko wykonywane przez primabalerinę Marię Łapińską-Parnell najważniejsze partie solowe; „Fontanna Bachczysaraju” – Maria, „Rajski Ptak”, „Pan Twardowski” – królowa podziemi, „Jezioro Łabędzie” – Odetta, „Giselle” – rola tytułowa, „Komedianci” – żona.

Osobny rozdział świetnego wykonawstwa artystki to „Miniatury” w choreografii Feliksa Parnella, w tym niezapomniane arcydzieło „Terpsychora na podwórku”.

Maria Łapińska to osoba o wielkim talencie, precyzyj technicznej,

wdzięku i niezwyklej pracowitości, a przy tym skromna i wielce życzliwa ludziom!

Dnia 30 kwietnia 2010 roku na jubileusz 30-lecia śmierci Feliksa Parnella przygotowano w Łodzi uroczyste spotkanie zapraszając na nie Panią Marię Łapińską-Parnell.

W uroczych pomieszczeniach „Starej Fabryki” na przybyłych gości czekała bogata wystawa fotosów dokumentująca pracę artystów Zespołu Feliksa Parnella oraz projekcja filmu, dzięki której ożyły wspomnienia, bo podziwialiśmy Marię Łapińską z Feliksem Parnellem w duecie oraz „roztańczony żywioł” – zespół baletowy.

Wzruszenie wzbudził na nowo „Umarł Maciek umarł” i „Terpsychora na podwórku”. Uroczystość uświetniły tańcem solowym uczennice Szkoły Baletowej w Łodzi.

Pani Maria Łapińska-Parnell wyrażnie poruszona, dziękowała za piękną uroczystość, serdeczne przemówienia, wspomnienia o mężu, znakomitym artyście tancerzu i choreografie. Z charakterystycznym sobie wdziękiem i dowcipem opowiadała o wydarzeniach ze swojego życia prywatnego i zawodowego. Byliśmy zachwyceni!

Zarząd Sekcji Tańca i Baletu ZASP Oddziału Warszawskiego obecny na uroczystości w składzie: Janusz Dąbrowski, Barbara Sier-Janik, Ewa Czałkowska, Hanna Zawadzka-Korpołewska, Bogdan Jankowski, Jerzy Stępnik z radością przyjął podziękowania Pani Marii Łapińskiej-Parnell za przyznaną jej nagrodę finansową z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Zarząd Sekcji Tańca i Baletu ZASP Warszawa dziękuje szczególnie serdecznie organizatorom pięknej uroczystości, Pani Magdalenie Wojtysiak-Staniaszczyk i Panu Jerzemu Staniaszczykowi ze Stowarzyszenia UniArt.

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci Pani Marii Łapińskiej-Parnell. Odeszła od nas 5 lipca 2010 roku, osoba o wielkich zasługach dla sztuki tańca w Polsce.

Joanna Skultety-Ramlau
Ewa Czałkowska
Sekcja Tańca i Baletu ZASP

Odeszła **MARYSIA HOMERSKA**. Ostatnie lata chorowała. Cudowny człowiek, wspaniała aktorka i przeżyła koleżanka. Młodsza ode mnie o kilka lat. Delikatna, czuła i serdeczna. Miłośnicy teatru pamiętają Ją z licznych ról w Teatrze Polskim w Warszawie i z Teatru na Woli, gdzie w roku 1981 pożegnała się ze sceną grając hrabinę Respektową w dramacie Juliusza Słowackiego „Fantazy”. **Do Słowackiego i do wielkich ról kostiumowych miała szczęście. Sprawily to piękne warunki zewnętrzne, nieskazitelna dykcja, interesujący głos i talent dany Jej od Boga.** Wcale nie myślała o aktorstwie. Aktorką została przez przypadek. W czasie wojny i okupacji studiowała polonistykę na tajnych kursach w Warszawie. Marzyła o dziennikarstwie. Ewentualnie o matematyce. Myślała też o tym, aby zostać belfrem. W czasie powstania walczyła w szeregach Armii Krajowej. Po upadku powstania wywieziono ją do Niemiec. Tam też doczekała się końca wojny i wyzwolenia przez wojska alianckie. W roku 1946 znalazła się w Pierwszej Dywizji Pancerniej Generała Maczka. Została telefonistką. Któregoś dnia wpadła Jej w ręce polska gazeta. Przeczytała w niej ogłoszenie, że w Warszawie działa pierwsza Szkoła Dramatyczna, do której przyjmują kandydatów, pragnących zostać aktorami. I choć miała możliwość pozostania na Zachodzie i studiowania na Uniwersytecie w Kolonii lub Paryżu, zapragnęła nagle zostać aktorką. Wróciła do Warszawy. Zgłosiła się do Janusza Strachockiego, który prowadził z polecenia władz szkołę aktorską w swoim prywatnym mieszkaniu na Pradze. Warszawa wtedy leżała w gruzach. Zdała egzamin i została przyjęta na studia. Jej kolegami z roku byli Tadeusz Janczar, Józef Nalberczak, Magda Sadowska i Ryszard Pietruski. Kiedy w roku 1947 Janusza Strachockiego minowano dyrektorem Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie, zaproponował wszystkim swoim uczniom angaż do tego teatru. Tam pod czujną opieką swojego mistrza, młodzi adepci stawiali pierwsze kroki i rozpoczynali kariery aktorskie. Tam, na scenie teatru olsztyńskiego Maria Homerska debiutowała rolą Diany w „Fantazym” Juliusza Słowackiego u boku swojego mistrza Janusza Strachockiego, który grał rolę tytułową i sztukę reżyserował. Rola Diany przyniosła jej uznanie i znakomite recenzje.



W Olsztynie poprosił ją o rękę Ryszard Pietruski i pojął za żonę. Urodziła mu córkę Magdę. Choć małżeństwo nie przetrwało próby czasu, rozstali się w przyjaźni i w przyjaźni pozostali na całe życie. Z drugiego małżeństwa z Aleksandrem Długoszem miała drugą córkę Dorotę. Żadna z nich nie została aktorką. Obie są wspaniałe i obie ogromnie kochane przez matkę. Często mi o nich opowiadała, kiedy odwiedzałem ją w Skolimowie, gdzie przez pewien czas mieszkała w Domu Aktora. Opowiadała mi też o swoich ukochanych wnuczętach Halce i Olesiu. Szczególną miłością darzyła Olesia. Był jej oczkiem w głowie.

W swojej karierze aktorskiej zagrała mnóstwo ról. Znali ją i podziwiali widzowie Kielc, Radomia, Szczecina, Białegostoku i Warszawy. Po rewelacyjnie zagranej roli Kateriny w „Burzy” Ostrowskiego, w reżyserii Hugona Morycińskiego na scenie Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach, w roku 1949, mówiła o niej cała teatralna Polska. Posypały się propozycje, ale do Warszawy jeszcze się nie spieszyła. Jej talent dojrzywał. Kielce podziwiała ją jeszcze jako Zuzannę w „Weselu Figara” Beaumarchaisa, w reżyserii Edmunda Krona. W Teatrach Dramatycznych Szczecina zagrała kolejne swoje wielkie role: Wioli w „Wieczorze trzech króli” Szekspira, w reżyserii Wiktora Biegańskiego, Berty w „Świerszczu za kominem” Dickensa i Elizy w „Pigmalionie” G. B. Shawa, w reż. Mariana Godlewskiego. W roku 1953 w Teatrze Polskim w Warszawie wystąpiła gościnnie w roli Amelii w dramacie Juliusza Słowackiego „Horsztyński”, w reżyserii jednego z najwspanialszych reżyserów tamtych czasów, Edmunda Wiercińskiego. Po tej roli została w tym teatrze na długie lata, aż do roku 1975. Pamiętne Jej role na tej scenie to między innymi Pola w „Rozbit-

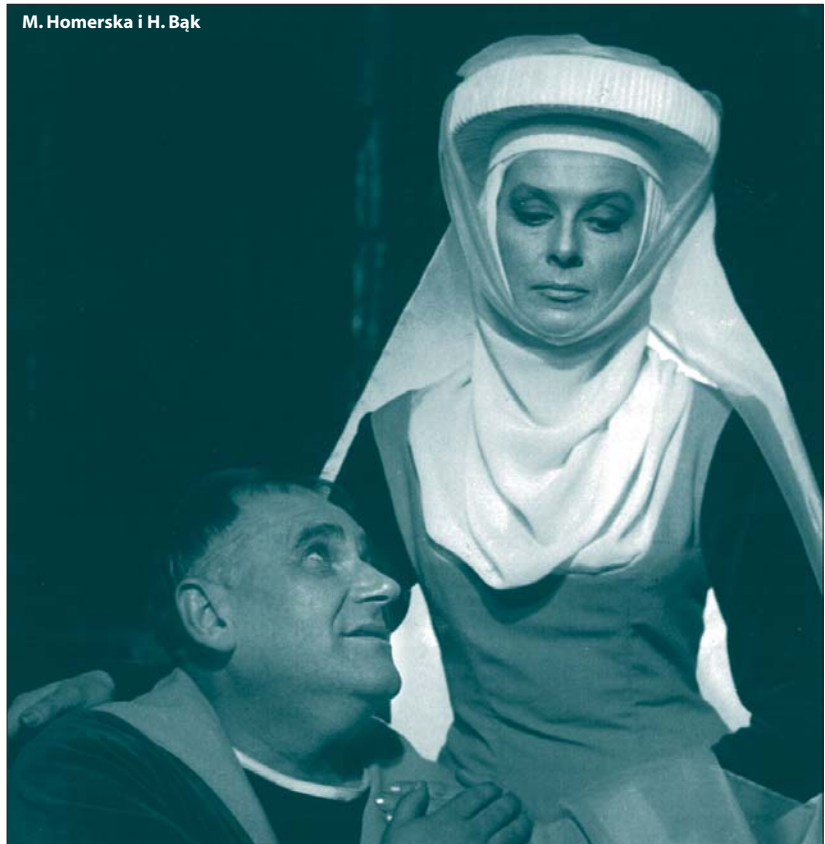
Maria Homerska (15.02.1925 – 6.07.2010)

kach” Józefa Blizińskiego, w reżyserii Karola Borowskiego, Elżbieta królowa Anglii w „Czarnej Damie z sonetów” G. B. Shawa, w reżyserii Zbigniewa Stoka, Pani w sztuce Jerzego Szaniawskiego „Kowal, pieniądze i gwiazdy”, Elwira w „Don Juanie” Moliera, w reżyserii Bohdana Korzeniewskiego, Helena w „Chłopcu latającym” Jerzego Szaniawskiego, u Jana Kreczmara, Mirrina w „Obronie Ksantypy” Morstina, w reżyserii Władysława Hańczy i Księżna Olivarez w „Don Carlo-sie” Fryderyka Schillera oraz Katarzyna Stenbock w „Eryku XIV” Strindberga, u Zygmunta Hübnera. Przeistaczała się też w Andromachę w „Sławnej historii o Troilusie i Kresydzie” Szekspira, w reżyserii Bohdana Korzeniewskiego, Ducha w głośnym i kontrowersyjnym przedstawieniu „Fausta” Goethego, w reżyserii Józefa Szajny i Eleonorę w „Cydzie” Wyspiańskiego, u Ignacego Gogolewskiego, a także Lokatorkę w „Moralności pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej, Panią w „Dwóch Teatrach” Jerzego Szaniawskiego i Paulę Klotyldę w sztuce Hauptmanna „Przed zachodem słońca”. To tylko część z jej dorobku artystycznego w Te-

atrze Polskim. W roku 1976 przeszła do Teatru na Woli, do Tadeusza Łomnickiego. Spędziła tam resztę swojego życia, aż do emerytury. Grała między innymi Elegantkę w widowisku muzycznym „Podróż po Warszawie”, w reżyserii Andrzeja Strzeleckiego i Panią Sarti w „Życiu Galileusza” Brechta, w reżyserii Ludwika René. Od początku swojej kariery pracowała z najwybitniejszymi reżyserami i znakomitymi kolegami. Wiele ról zagrała w Teatrze Polskiego Radia i w Teatrze Telewizji. Wystąpiła w licznych filmach, wśród nich w „Rachunku sumienia”, „Spóźnionych przechodniach”, „Głosie z tamtego świata”, „Znachorze”, „Wiernej rzece” i wielu innych. Pracowała w dubbingu. Uczyła swojego głosu znakomitej francuskiej koleżance Simone Signoret w filmie „Miejsce na górze”. Przez długie lata, obok teatru, była terapeutką w Poradni Zdrowia Psychicznego. Była też redaktorem w wydawnictwie „Michalineum”. Pozostanie w mojej pamięci na zawsze. Żegnaj droga, kochana Marysiu. Śpij spokojnie. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

Witold Sadowy

M. Homerska i H. Bąk





Wojciech Truszczyński (15.10.1927 – 07.07.2010)

Jeszcze nie tak dawno spotkałem Wojtkę Truszczyńskiego w Związku Artystów Scen Polskich w Alejach Ujazdowskich, na promocji mojej książki. Wyglądał znakomicie. Niewiele się zmienił. Tylko włosy mu posiwiały. Pogodny i uśmiechnięty, jak za dawnych lat. Wydawało mi się, że czas się zatrzymał. Wróciły wspomnienia.

Poznaliśmy się po wojnie, w roku 1949, kiedy Polskie Radio przeniosło się już z Alei Ujazdowskich na ulicę Myśliwiecką. Niemal codziennie tam bywa-

łem na nagraniach. I niemal codziennie spotykałem się z Wojtkiem. Radio w tym okresie było jedyną instytucją, w której zarabiano się dodatkowo pieniądze. Ja byłem początkującym aktorem a Wojtek początkującym mikserem, jak się wtedy mówiło. Szybko wyrósł na jednego z najlepszych operatorów dźwięku. Stał się profesjonalistą najwyższej klasy. Całe swoje zawodowe życie spędził w Polskim Radiu. Ceniony i lubiany. Nawet kiedy przeszedł na emeryturę w roku 1990, stale tam bywał, nie mógł się z Polskim Radiem rozstać. Stale go tam potrzebowano. Szalenie ambitny i utalentowany. Niezwykle pracowity. A przy tym nieprawdopodobnie skromny. Inteligentny, o dużej wiedzy, nie tylko zawodowej. Delikatny i wrażliwy. Znakomicie wychowany. Zawsze elegancki, pachnący dobrą wodą kolońską i świetnie ubrany.

Pracował z najwybitniejszymi reżyserami i najwybitniejszymi aktorami. Z wszystkimi był na „ty”. Kochał swoją pracę i swój zawód. Za swoje realizacje

zdobywał liczne nagrody i wyróżnienia. Otrzymał między innymi Nagrodę Komitetu ds. Polskiego Radia i Telewizji za realizację „Cichego Donu” Szołochowa, w roku 1972. Pozostały po Nim liczne nagrania słuchowisk, zwłaszcza teatralnych zrealizowanych dla Teatru Polskiego Radia. Był rodowitym warszawiakiem, harcerzem, działaczem podziemia w czasie okupacji niemieckiej i członkiem Szarych Szeregów. Walczył bohatersko w Powstaniu Warszawskim, a po jego upadku został aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Niemczech Mauthausen. Po zakończeniu działań wojennych, uwolniony przez aliantów powrócił do kraju. Był znakomitym mężem, ojcem i dziadkiem.

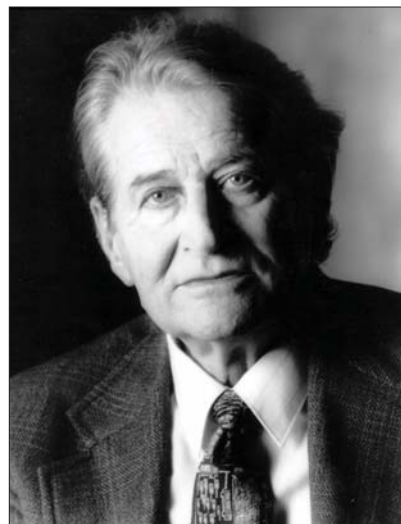
Zmarł 6 lipca 2010 roku. Pochowany został na Cmentarzu św. Wincentego na Bródnie. Śpij spokojnie drogi Wojtku. Zapisałeś piękną kartę w historii Polskiego Radia. Nie mówię Ci żegnaj, lecz do zobaczenia.

Witold Sadowy

Ryszard Barycz (17.03.1924 – 28.07.2010)

Nie przypuszczałem nawet, że przyjdzie mi żegnać młodszego ode mnie, znakomitego kolegę i przyjaciela RYSZARDA BARYCZA.

Nie widzieliśmy się parę lat, ale zawsze kiedy bywałem w Teatrze Współczesnym, oglądałem Go na scenie. Grywał już co prawda niewielkie, ale zawsze znaczące role. Wyglądał bardzo dobrze i stale żył teatrem, nie mógł się z nim rozstać. Ostatnio rozpoczął próby w Teatrze Dramatycznym. Miał grać dużą rolę, głównego bohatera w przedstawieniu reżyserowanym przez greckiego reżysera, opartym na motywach powieści Tadeusza Konwickiego „Mała Apokalipsa”. Premierę zaplanowano w ramach Festiwalu Teatralnego – Warszawa Centralna, na dzień 15 października 2010 roku. Próbował bardzo pięknie i cieszył się na tę premierę. Niestety, los zdecydował ina-



czej. Nie ma już Rysia. Odszedł nagle i nieoczekiwanie. Premierę zagra ktoś inny. I tak się toczy życie.

Należał do pokolenia, które zaczęło po wojnie. Młody, utalentowany, bardzo przystojny, o dużym uroku osobistym. Od początku wzbudzał zainteresowanie młodych dam. Szalały za

nim pensjonarki. Na afiszach teatralnych przy jego nazwisku, zakochane w nim wielbicielki dopisywały słowo „kocham”, a po przedstawieniu szturmowały jego garderobę, prosząc o autograf.

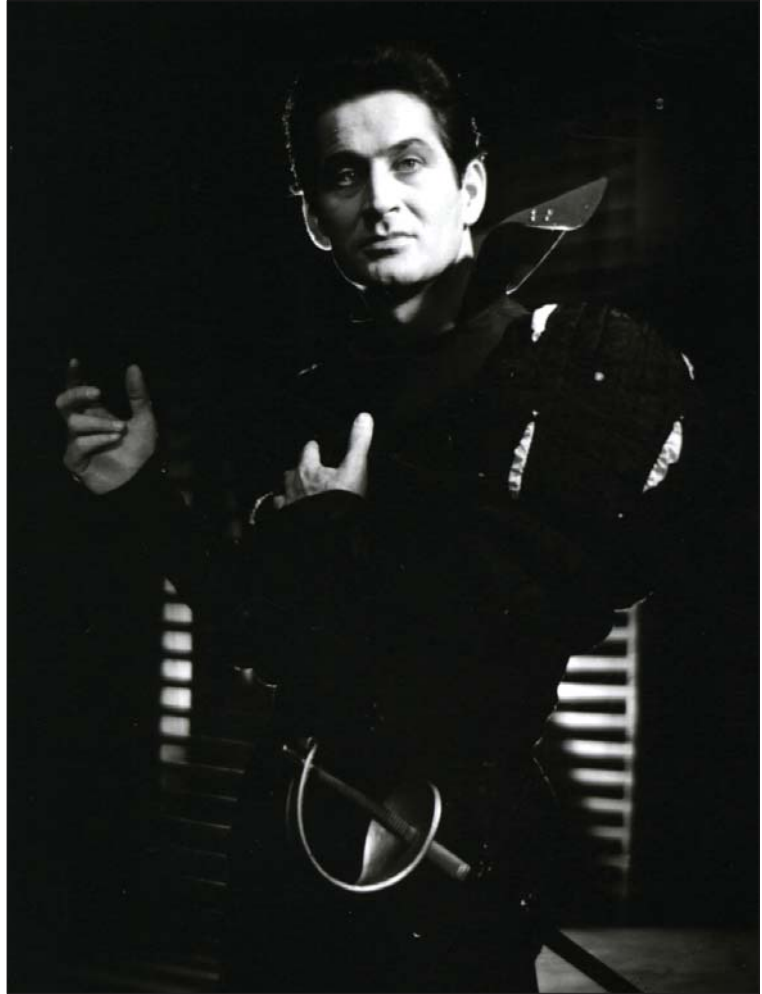
Urodził się we Lwowie. Jak wszyscy lwowiaci, miał w sobie mnóstwo ciepła i życzliwości. Kochał teatr, świat i ludzi. Chętnie im pomagał. Do teatru trafił w roku 1946. Był wychowankiem wielkiego Iwo Galla. To on uczył go aktorstwa i teatru. U niego w roku 1946 debiutował na scenie Teatru Wybrzeże w Gdyni w „Mickiewiczowskich balladach” w reżyserii Haliny Gallowej. Tam pod czujną opieką mistrza zdobywał pierwsze szlify i uczył się zawodu. Tam też do roku 1949 sprawdzał się jako aktor, grając mnóstwo interesujących ról. Między innymi Echefrona w „Homerze i Orchidei”, T. Gajcego, Rzeźbiarza w „Żelazku” J. Szaniawskiego, Orlanda w „Jak wam się podoba” W. Szekspira, Eryka w „Pan inspektor przyszedł” J. B. Priestleya, Pana Młodego w „Weselu” S. Wyspiańskiego, Ludmira w „Panu Jowialskim” A. Fredry i Botwela w „Marii Stuart” J. Słowackiego. W sezonie 1949/50 pojechał

wraz ze swoim mistrzem do Łodzi, gdzie Iwo Gall objął dyrekcję Teatru im. Stefana Jaracza. W Łodzi powtórzył swoją pięknie zagraną rolę Botwela w „Marii Stuart”, a potem zaprezentował się łódzkiej publiczności jako Antonio w szekspirowskim „Wieczorze Trzech Króli”. Lubomir w „Panu Geldhacie” A. Fredry, Florindo w „Słudze dwóch panów” C. Goldoniego, Abdulin w „Rewizorze” M. Gogola i Sułkowski w sztuce R. Brandstaettera „Bonaparte i Sułkowski”. Do stolicy ściągnął go w roku 1954 wielki aktor Jan Kreczmar, który kierował wtedy Teatrem Nowej Warszawy (dziś Rozmaitości) i zaproponował mu rolę Ferhada w „Legendzie o miłości” H. Nazima. Ta pierwsza warszawska rola Ryszarda Barycza przyniosła mu rozgłos i sławę. To znakomite przedstawienie w reżyserii Jerzego Rakowieckiego, w przepięknej scenografii Jana Kosińskiego, z udziałem wielkiej aktorki Stefanii Jarkowskiej, cieszyło się obłędnym powodzeniem. Miesiącami nie schodziło z afisza.

Wtedy też zaczęła się nasza znajomość, która z czasem przeistoczyła się w przyjaźń. Grałem bowiem w tym przedstawieniu Eszrefa i miałem z nim kilka scen. Po przyjeździe do Warszawy mieszkał przez pewien czas w teatrze. Uwielbiał przyrządzać wyszukane potrawy. Często mnie zapraszał na degustację i długie rozmowy o teatrze. Drugą ważną rolą w jego życiu, która ugruntowała jego pozycję był Percinet w „Romantycznych” E. Rostanda, w reżyserii Wiktora Biegańskiego. Zagrał ją już za dyrekcji Stanisława Bugajskiego, bo Jan Kreczmar zrezygnował z zajmowanego stanowiska. Partnerowała mu jako Sylwetta – śliczna Benigna SołECKA. Oboje wzbudzali zachwyt i sympatię widzów. W roku 1957 przeniósł się do Teatru Powszechnego, do Ireny Babel. Spędził tam lata 1956–1963, grając swoje kolejne znakomite role. Przede wszystkim księcia Andrzej Bołkońskiego w głośnym przedstawieniu Ireny Babel „Wojna i pokój” wg Lwa Tołstoja, gdzie w roli Natali wystąpiła pełna uroku Janina Nowicka, Essex w „Elżbiecie, królowej Anglii” w reżyserii Henryka Szletyńskiego, Laertes w „Hamlecie” z udziałem Adama Hanuszkiewicza w roli tytułowej, w reżyserii Ireny Babel, Fircyka w „Fircyku w zalotach” F. Zabłockiego, Kalibana w szekspirowskiej „Burzy”, w reżyserii Krystyny Skuszanek, Don Rodryga w „Cydzie” S. Wyspiańskiego, Abelarda w „Heloizie i Abelardzie”, Kuno Gelehrta w „Skandalu w Hellbergu” i Kardynała

Richelieu w „Trzech muszkieterach” A. Dumasa.

Następny piękny okres w jego karierze to Teatr Dramatyczny w Pałacu Kultury, w latach 1963–70. Grał tam między innymi Riumina w „Letnikach” M. Gorkiego, Emilianą w „Romulusie Wielkim” F. Dürrenmatta oraz Mikołaja Radziwiłła Rudego w „Kronikach królewskich” S. Wyspiańskiego. Wszystkie sztuki w reżyserii Ludwika René. W roku 1970 przeniósł się do Teatru Współczesnego i pozostał tam do końca swojego życia. Ceniony i szanowany. Pamiętne jego role z tego teatru to Melvil w „Marii Stuart” Fryderyka Schillera, w reżyserii Erwina Axera, Oficer i Biskup w sztuce Eugène Ionesco „Macbett”, Melchior w „Pastorałce” Leona Schillera, Egeusz w „Śnie nocy letniej”, Wierszynin w „Trzech siostrach” i Kaifasz w „Mistrzu i Małgorzacie”, w reżyserii Macieja Englerta. Ostatnia jego rola w tym teatrze to Woźny w banku, w „Procesie” F. Kafki. Zagrał również mnóstwo wielkich ról w Teatrze Telewizji i Teatrze Polskiego Radia. Nakręcił mnóstwo filmów i seriali telewizyjnych. W filmie



debiutował w roku 1950 jako Poeta, przyjaciel Wolskiego w „Warszawskiej premierze”. Kolejne jego filmy to między innymi „Młodość Chopina”, gdzie grał Godebskiego i Wacława w „Zemście” wg Aleksandra Fredry w reżyserii Bohdana Korzeniewskiego, a także pułkownika Godebskiego w „Popiołach”. Seriale w których wystąpił to „Janosik”, „Wielka miłość Balzaka”, „Polskie drogi”, „Lalka”, „Rodzina Połanieckich”, „Kariera Nikodema Dyzmy”, „Czterdziestolatek – 20 lat później”, „Miasteczko”, „Samo życie”, „Plebanią” i wiele innych. Był wielkim społecznikiem i działaczem Związku Artystów Scen Polskich. Przez wiele lat jako członek Komisji Skolimowskiej wraz z Zofią Kucówną, Katarzyną Łaniewską, Anną Nehrebecką i Marią Mamoną troszczył się i opiekował naszymi kolegami mieszkającymi w Domu Aktora w Skolimowie.

Był człowiekiem dobrym i szlachetnym. Osierocił żonę i dwóch synów. Żegnaj kochany Rysiu! Mam nadzieję, że Cię wkrótce zobaczę.

Witold Sadowy

Słowo o Bogumile Kłodkowskim

Był swoistym fenomenem aktorskim. Przez dziesięciolecia rozpałał wyobraźnię i namiętności wielu milionów Polaków. Był

niekwestionowaną ikoną kultury masowej w erze, w której telewizja nie trafiła jeszcze pod strzechy. Grana przez niego postać pełna humoru i optymizmu życiowego była lubiana niemal przez wszystkich. Muzyk, kierowca, komendant straży pożarnej. **W latach sześćdziesiątych miał nawet swój fanklub**, który działał obok redakcji wielkonakładowego „Dziennika Ludowego”. Kobiety się w nim kochały. Był szarmancki, uwodzicielski, zdystansowany do świata. Niezwykle popularny, ale jednocześnie na ulicach nierozpoznawalny. Jego fotografie pojawiały się z rzadka na pocztówkach dźwiękowych. Rozniecało to tylko ciekawość. Każdy wyobrażał go sobie inaczej. W sposób anonimowy gościł w naszych domach w niedzielne popołudnia. Towarzyszył często przy rodzinnym obiedzie. Nieprzerwanie od blisko pięćdziesięciu lat! Trudno było się wtedy nie uśmiechnąć i oderwać choć na chwilę od przytłaczającej rzeczywistości. Jego powiedzenia: „Humor satyra” czy „Jasne jak plecy anioła” weszły do obiegu językowego. Był jednym z najwybitniejszych aktorów teatru wyobraźni. Uczestniczył w nagraniu blisko dwóch tysięcy audycji! Jego głos w sposób zjawiskowy wykreował postać Edka Jabłońskiego, najbardziej kolorowej i przykuwającej uwagę postaci sagi radiowej „W Jezioranach”.

Urodził się 30 sierpnia 1926 r. w Częstochowie. Od dzieciństwa marzył o aktorstwie. Zadebiutował w osiemnaste urodziny na scenie Frontowego Teatru Artylerii II Armii Wojska Polskiego założonego z polecenia gen. Karola Świerczewskiego. Po wojnie pracował w teatrach na ziemiach odzyskanych oraz w Zespole Pieśni i Tańca Wojska Polskiego. W Warszawie zamieszkał w połowie lat pięćdziesiątych występując najpierw w teatrze satyryków „Syrena” a następnie przez ponad dwadzieścia lat w teatrze „Komedia”. Grał tam w tak głośnych spektaklach jak: „Śniadanie u Tiffany’ego”, „Boso, ale w ostrogach”, „Cafe



(30.08.1926 – 24.07.2010)

„**Kobiety się w nim kochały. Był szarmancki, uwodzicielski, zdystansowany do świata.**”

Pod Minogą”, „Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwańca”. W 1953 r. zadebiutował na dużym ekranie w głośnym dramacie sensacyjnym Stanisława Urbanowicza „Pościg”. Jedną z ciekawszych agitek socrealistycznych. Występował też w popularnych serialach telewizyjnych takich jak: „Barbara i Jan”, „Czterdziestolatek”, „Lalka”, „Tulipan”, „Dom”. To były jednak tylko epizody.

Wszystko w jego aktorskim życiu zmieniło się 27 maja 1960 wraz z emisją pierwszego odcinka radiowej powieści „W Jezioranach”. W założeniu serial ten miał być dedykowany mieszkańcom wsi i małych miasteczek. Podobno jego pomysłodawcą był Włodzimierz Sokorski, ówczesny przewodniczący Komitetu ds. Radia i Telewizji, który zachwycony był

niebywałym powodzeniem warszawskich „Matysiaków”. Audycja zrealizowana była w konwencji ultrarealistycznej. Twórcy i aktorzy nie byli nigdy na antenie wymieniani z imienia i nazwiska, co potęgowało u słuchaczy wrażenie, że uczestniczą w życiu prawdziwej rodziny mieszkającej w jednej ze wsi niedaleko Puław. Znakomity scenariusz Andrzeja Mularczyka i towarzyszącego mu zespołu oraz gwiazdorska obsada sprawiły, że saga radiowa osiągnęła kilkunastomilionową słuchalność. Jeszcze w latach siedemdziesiątych kiedy telewizor stawał się już podstawowym medium „W Jezioranach” regularnie słuchało ponad trzy miliony osób. Bogumił Kłodkowski grał w towarzystwie znakomitych aktorów. Łącznie było ich kilkuset. Wymienić tu można choćby: Marię Żabczyńską, Kazimierza Opalińskiego, Zygmunta Kęstowicza, Piotra Fronczewskiego, Gustawa Lutkiewicza, Henryka Talara, Janusza Kłosińskiego, Andrzeja Zaorskiego, Franciszka Pieczkę, Danutę Stenkę, Ewę Serwę, Artura Barcisia. Nie został jednak przytłoczony wielkimi nazwiskami. Potrafił w znakomity sposób zaakcentować swoją indywidualność. Postać Edka Jabłońskiego wygrywała wszystkie plebiscyty na najsympatyczniejszego bohatera słuchowiska. Kilka lat temu w trakcie ciężkiej choroby Bogumiła Kłodkowskiego rolę tę przejął Andrzej Zaorski. Dzięki temu zabiegowi (krytykowanym przez wiernych słuchaczy) Edek Jabłoński jest ciągle wśród nas.

Aktor realizował się również na scenie jako piosenkarz. Z powodzeniem występował na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. Nagrywał płyty z bajkami dla dzieci. Przez wiele lat pracował w Stołecznej Estradzie. W 2000 r. wraz z „Kapelą Czerniakowską” nagrał autorską płytę „O rany! Jeziorany” będącą podsumowaniem całości dorobku. Zabawne teksty i ciekawe melodie czerpiące z folkloru warszawskiego przyjęte zostały bardzo ciepło.

24 lipca 2010 r. po długiej i ciężkiej chorobie odszedł od nas szlachetny człowiek i znakomity aktor komediowy. Będąc jeszcze u progu kariery miał powiedzieć: „*Moim powołaniem jest nieść radość i uśmiech*”. I był tym słowem wierny do końca zawodowego życia. Bogumił Kłodkowski jako Edek Jabłoński pozostanie na zawsze w pamięci całego pokolenia radiosłuchaczy.

Aktor pochowany został w grobie rodzinnym na warszawskich Powązkach.

Mieszko Banasiak

Odeszła Kasia Sobczyk

Kasia Sobczyk legenda polskiej piosenki po wielu latach spędzonych w Stanach Zjednoczonych podjęła decyzję o powrocie do Polski. Wróciła w 2008 roku.

Kasia to istotna część historii polskiej muzyki rozrywkowej. Kiedyś jej piosenki śpiewała cała Polska, dziś doczekały się wielu coverów i nują je kolejne pokolenia.

A zaczęło się tak: w 1963 roku do Koszalina przyjechał zespół „Czerwono-Czarni” z programem pt. „Szukamy młodych talentów”. Zgłosiła się do tego konkursu. Dwa miesiące później w Szczecinie odbył się koncert młodych talentów, gdzie zakwalifikowała się do „Złotej dziesiątki”. Wtedy zespół Czerwono-Czarni zaproponował jej, aby została ich solistką. Właśnie z tym zespołem nagrała swoje największe ówczesne przeboje.

W czasie swojej największej popularności wyjechała na tournée do Stanów Zjednoczonych, a została tam na 16 lat. Przeżyła tam i wzloty i upadki. Tam też zachorowała na raka piersi. Jak wspominała w jednym z wywiadów, „...byłam przerażona, źle się czułam moja pierś była ogromna, a pod pachą węzeł z guzem. Chcieli mnie operować. Przeraziłam się. Zaprzyjaźnieni lekarze kazali mi uciekać do Polski. Zapakowałam wyniki badań, parę drobiazgów i przyleciałam do kraju”.

W kraju pomogli jej przyjaciele: Halina Frąckowiak, Edward Hulewicz, Barbara Rybałtowska, Piotr Miks. Z ich pomocą wkrótce otrzymała niewielkie mieszkanie w Koszalinie i tam początkowo leczyła się i w miarę pogarszania się stanu zdrowia trafiła do Hospicjum. I znów ci przyjaciele pomogli jej, przewożąc ją do Centrum Onkologii w Warszawie, potem

(21.02.1945 – 28.07.2010)



wystarali się o miejsce w Hospicjum. Załatwili zapomogi z Ministerstwa Kultury i ZASP-u, opiekowali się nią na co dzień.

Miała wiele planów, wierzyła, że pokona ciężką chorobę, ale niestety rak okazał się silniejszy. Kasia odeszła 28 lipca 2010 roku. Odwiedzając ją często w Hospicjum, czasami zastawałem ją śpiącą i nie chcąc jej budzić rozmawiałem z lekarzem. Nie krył, że nie jest dobrze, nawet uważał, że Kasia żyje jedynie siłą woli, bo czeka na przyjazd syna licząc na to, że jej nie najlepsze dotąd relacje z nim poprawią się, kiedy do niej przyjedzie. Syn rzeczywiście przyjechał na parę godzin, było wzruszające, serdeczne pogodzenie i widać było, że Kasia wyraźnie uspokojona i pogodzona z nieuchronnym, poddała się. Czasami tylko odzyskiwała przytomność, żeby przywitać się skinieniem głowy i nikłym uśmiechem. Lekarz stwierdził, że to kwestia godzin.

W tym feralnym dniu spotkałem się w mieście z Haliną Frąckowiak dla omówienia pewnych zawodowych przedsięwzięć. I jak zwykle postanowiliśmy pojechać do Kasi. W Hospicjum zastaliśmy niezwykle ożywienie. Pielęgniarki powitały nas słowami: „Pani Kasia umiera”. Spytaliśmy czy możemy do niej wejść.

Kiedy weszliśmy Kasia już nie żyła i wezwany lekarz stwierdził zgon. Siedzieliśmy przy niej długo, potem także o przewiezieniu jej do kostnicy. Z Hospicjum wyszliśmy około północy.

Nazajutrz porozmawiałem z panią Prezes, proponując abyśmy wystąpili do Ministerstwa Kultury z prośbą o pokrycie przez nie kosztów pogrzebu Kasi. Pani Joanna z godnym podziwu zapalem przystąpiła do działania. W efekcie Ministerstwo nie tylko znalazło na to fundusze, ale także włączyło się razem z panią Prezes do naszych (grona przyjaciół Kasi) dotychczasowych rozmów z Zarządem Cmentarza Powązkowskiego, aby znaleźć na tym cmentarzu miejsce dla Kasi. Starania owe zostały uwieńczone powodzeniem, bo nie tylko miejsce takie się znalazło, ale urna z prochami Kasi została umieszczona w Powązkowskich Katakumbach obok... Niemena. Należy jej się to.

Pogrzeb Kasi odbył się 5 sierpnia 2010 roku. Rozpoczął się mszą w Kościele św. Boromeusza na Powązkach. Nieprzebrane tłumy przyjaciół, znajomych i fanów towarzyszyły jej w tej ostatniej drodze. Nad grobem stanęli m.in. koleżdy z zespołu „Czerwono-Czarni”, „Niebiesko-Czarni”, oraz Edward Hulewicz, Marian Lichtman, Ryszard Poznakowski, Andrzej Nebeski, Andrzej Rosiewicz, Wojtek Gąsowski, Zofia Czerwińska, Waldemar Kocoń, Krzysztof Cwynar i wielu, wielu innych. Halina Frąckowiak złożyła wiązkę z wzruszającym napisem: „Kochana Kasiu do zobaczenia”. Swoją mamę żegnał też syn Sergiusz.

„Żegnamy osobę bardzo kochaną, szanowaną, która wiele wniosła w życie każdego z nas. Dziękujemy za dar, którym była dla nas” – mówił podczas mszy ▶

FOT.: JÓZEF CZERNIEJEWSKI



FOTOGRAFIE: JÓZEF CZERNIEJEWSKI

FOT.: JÓZEF CZERNIEJEWSKI



FOTOGRAFIE: JÓZEF CZERNIEJEWSKI

► w kościele św. Karola Boromeusza ks. Paweł Bekus, który także odwiedzał Kasię w Hospicjum.

W imieniu Artystów Scen Polskich żegnała Kasię nasza koleżanka Basia Rybałtowska pełną pasji, ogromnego żalu, wzruszającą mową. Andrzej Frajndt przeczytał wiersz napisany przez zamieszkałego obecnie w USA Zbyszka Bernolaka. Wiersz kończy się strofą:

*„Dzisiaj jej miejsce tam w górze,
pomiędzy gwiazdami,*

*Tymi co przeminęły, lecz świecą
na niebie.*

*Taką ją kochaliśmy, taką pamiętamy,
za to że nam śpiewała, że dała nam
siebie!”*

Pośmiertnie Kasia odznaczona została Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Srebrnym Medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”. Odznaczenia z rąk przedstawicieli Kancelarii Prezydenta i Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego odebrał syn artystki.

Zgromadzeni na cmentarzu wysłuchali jednego z największych przebojów Kasi „Mały Książę”, oraz utworu „Jesienne, jesienne” nagranych przez Kasię krótko przed jej śmiercią.

Odeszła jedna z największych gwiazd polskiej piosenki, artystka o cudownym głosie. Żegnaj Kasiu. Zostaniesz w naszych sercach i pamięci niezliczonej rzeszy kochających Cię fanów.

Edward Hulewicz

Krystyna Sikorska – pianistka

30 sierpnia zmarła pensjonariuszka Domu Aktora w Skolimowie, znana i ceniona pianistka Krystyna Sikorska.

Mieszkała w Skolimowie od 2003 roku. Miła, cicha, lubiana przez wszystkich i skromna.

A kiedy przeglądam Jej dokumenty, dowiaduję się wielkiej prawdy.

Złoty Krzyż Zasługi w 1974 roku, Nagroda Ministra Kultury w 1979 roku, Zasłużony Działacz Kultury w 1979 roku i Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski w 1982 roku.

Ukończyła Konserwatorium Muzyczne w Katowicach w 1950 roku. Wcześniej – do czasu wysiedlenia studiowała w Konserwatorium Lwowskim – bo urodziła się i mieszkała we Lwowie. Od roku 1953, przez 29 lat była pedagogiem Państwowej Szkoły Muzycznej Nr 1 im. Oskara Kolberga. Współpracowała z Fil-

(18.03.1923 – 30.08.2010)

harmonią Narodową akompaniując w cyklicznych programach muzycznych dla dzieci i młodzieży, prowadzonych przez Jadwigę Mackiewicz. Współpracowała również z Warszawskim Towarzystwem Muzycznym, Estradą i Artosem. Przytoczę kilka pięknych opinii dyrektorów i działaczy kultury, jakie znalazłam w Jej dokumentach:

„Wyróżnia się wyjątkowym oddaniem w pracy i postawą społecznika. Wywiera wpływ na kierunek zawodowy szkoły, wykazuje głęboką troskę o stronę wychowawczą uczniów, z którymi pracuje i otacza ich swoją opieką. Obdarowana absolutnym słuchem i umiejętnością czytania nut a vista, wrażliwością artystyczną – była wielką osobowością



muzyczną środowiska. Jej technika – łatwość techniczna gry na fortepianie budziły podziw.”

To tylko kilka cytatów spośród licznych, chwalebnych opinii. Była bardzo religijna. Może wzbudzi podziw grając na niebiańskim fortepianie? Żyła wśród nas cicha, pogodna – odeszła nagle. Bóg zaoszczędził jej cierpienia.

Zofia Perczyńska
Kronikarz Skolimowa

Moje spotkanie z ostatnim Prezydentem RP na wychodźstwie śp. Ryszardem Kaczorowskim

W kwietniu 1989 r. otrzymałem z Londynu zaproszenie, by w Teatrze Polskim ZASP za Granicą zagrać w sztuce pt.: „Wigilia Generała” specjalnie napisanej przez Daniela Bargielowskiego dla uczczenia 50. rocznicy Polskiego Państwa Podziemnego. Próby miały rozpocząć się w drugiej połowie września. Zaproszenie przyjąłem z zadowoleniem zarówno ze względów artystycznych, jak i turystycznych, znałem bowiem wiele krajów południowej Europy nigdy jednak nie byłem ani w Wielkiej Brytanii, ani w Skandynawii. Bałem się tylko, czy otrzymam paszport, gdyż od ośmiu lat odmawiano mi go, „bez podania przyczyny”. Wydarzenia polityczne spowodowały, że w lipcu uzyskałem ów dokument. Udało mi się także skłonić mojego ówczesnego dyrektora Kazimierza Dejmkę, by udzielił mi trzymiesięcznego bezpłatnego urlopu.

„Wigilia Generała” była fikcyjną impresją na temat ostatnich dni życia gen. Leopolda Okulickiego, który zmarł lub został zamordowany w moskiewskim więzieniu 24 grudnia 1946 r. Nie był to jednak tak obecnie modny teatr faktu a poetycka fantazja w rodzaju „Trampolin polskich” Micińskiego, czy „Dziadów” Mickiewicza lub „Wyzwolenia” Wyspiańskiego. Postać, którą grałem nazywała się po prostu Leopold.

W dniu premiery, stojąc już na scenie, usłyszałem z widowni głos: „Proszę państwa, Prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej”. Zaciekawiony zerknąłem przez szparę i wszyscy wstali, na salę wszedł energicznym krokiem postawny, wysoki mężczyzna z siwą czupryną i takim wąsem i zasiadł w specjalnym fotelu pośrodku pierwszego rzędu.

W kilka dni po premierze zostaliśmy zaproszeni przez Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego do Jego rezydencji. Tam otrzymałem pamiątkowy medal gen. Władysława Andersa z napisem na rewersie: „Może nie wszyscy, ale dojdziemy”. Na okręgu wypisane są miejsca i daty najważniejszych bitew, które stoczyło wojsko polskie na froncie zachodnim.

Po dobrym przyjęciu „Wigilii” postanowiliśmy z Danielem zrealizować,

a właściwie zrekonstruować z kolegami londyńskimi ciesząc się ogromny powodzeniem w Polsce przedstawienie zatytułowane „Hejże na Soplicę” wg „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza, które miało swoją prapremierę w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej i grane było w domach parafialnych w całej Polsce. Graliśmy je w tzw. „drugim obiegu”, gdyż cenzura nie dopuściła do jego prezentacji na oficjalnych scenach twierdząc, że nie jest to „Hejże na Soplicę” ale „Hejże na Moskali” i może „zagrozić naszemu sojuszom”. Tak więc po raz drugi (poprzednio dejmkowskie „Dziady”) Mickiewicz został w PRL-u ocenzurowany. W Londynie spektakl został przyjęty z podobnym aplauzem jak w Polsce, a premierę znów zaszczylił swoją obecnością Prezydent. Grałem w tym przedstawieniu, jak i w Polsce, Jacka Soplicę (Księdza Robaka).

Przed powrotem do kraju, w pierwszej połowie grudnia, Pani Prezes Związku Artystów Scen Polskich za Granicą, Irena Delmar wydała w swoim domu uroczystą kolację, na której gościem honorowym był Pan Prezydent Ryszard Kaczorowski. Po kolacji, gdy sączyliśmy zaserwowaną przez męża gospodyni pana pułk. Czarneckiego 25-letnią whisky, Pan Prezydent, pół żartem, pół serio zwierzył się ze swoich kłopotów z nadmiaru obowiązków związanych z pełnionym przez Niego urzędem. Odpowiedziałem żartobliwie „Panie Prezydencie, proszę się nie martwić, za półtora roku przekaże Pan insygnia władzy prezydenckiej nowemu Prezydentowi RP w Warszawie”. „O panie Krzysztofie, jest pan zbyt optymistą!” Tymczasem okazałem się raczej pesymistą lub jak kto woli prorokiem, bo nie za 18, a za 13 miesięcy, w styczniu 1990 r., ostatni Prezydent Rzeczypospolitej na Uchodźstwie przekazał przechowywane od pół wieku w Londynie symbole ciągłości władzy nowo wybranemu w powszechnych, wolnych wyborach Prezydentowi RP Lechowi Wałęsie.

W wolnej już Polsce, Prezydent Kaczorowski często przyjeżdżał do kraju i spotykaliśmy się kilkakrotnie na warszawskich premierach, gdyż Prezydent okazał się teatromanem. W grudniu 2008 r., jako Prezes ZASP, zaprosiłem

Pana Prezydenta na uroczystość jubileuszową 90-lecia powstania Związku, która miała się odbyć 21 tegoż miesiąca w Teatrze Narodowym w Warszawie. Prezydent przyjął zaproszenie z ukontentowaniem, miał już kupiony bilet lotniczy, ale lekarz na kilka dni przed uroczystościami zabronił mu podróży samolotem. Przysłał zatem list pełen gratulacji i wzruszających słów zarówno pod adresem ZASP jak i moim. W lutym 2009 r. dowiedziałem się, iż Prezydent jest w Warszawie, ale leży w szpitalu MSWiA na Wołowskiej. Moja nieoceniona sekretarka szybko ustaliła, w którym pawilonie jest leczony i z kwiatami pokonawszy opór lekarzy-cerberów, znalazłem się w Jego separacie. Rozmawialiśmy długo o polityce i teatrze, żartowaliśmy, w końcu lekarka uznała, że chory jest zbyt ożywiony i powinienem już wyjść. Wychodząc zaprosiłem jeszcze Pana Prezydenta na „Wujaszka Wanię” Czechowa w moim macierzystym Teatrze Polskim, gdyż spektakl przygotowany przez rosyjskich realizatorów uzyskał wysokie oceny zarówno publiczności jak i krytyki i wiedziałem, że na pewno Mu się spodoba. Kilka miesięcy później otrzymałem z Londynu przesyłkę zawierającą stary album poświęcony Ludwikowi Solskiemu i list. Prezydent pisał:

„Szanowny Panie Prezesie, z wdzięcznością wspominam Pańskie odwiedziny w szpitalu, gdzie trafiłem na dwa tygodnie. Odwiedziny chorego w szpitalu łączą się zawsze z poświęceniem swego czasu, który był przeznaczony na pracę lub odpoczynek. Chwile, które Pan mi poświęcił pozwoliły zapomnieć o powodach mego pobytu w szpitalu i skierować myśli w innym kierunku.

Chciałbym ze swojej strony również zostawić jakiś ślad u Pana. Pozwalam sobie załączyć książkę poświęconą nestorowi teatru polskiego Solskiemu. Znalazłem ją w antykwariacie i po poprawieniu przez intrologatora jest w stanie nadającym się do przechowania.

Proszę ją przyjąć na pamiątkę.

Z wyrazami szacunku łączę serdeczne pozdrowienia oraz uścisk dłoni.

Londyn, 20 kwietnia 2009 r. – Ryszard Kaczorowski”

Wojtkowe Siemionalia

O WOJCIECHU SIEMIONIE WSPOMNIENIE



W. Siemion, J. Greber



W towarzystwie R. Rogalskiego i gości spotkania

Jeszcze niedawno był wśród nas. W ten majowy dzień kiedy Go zegnaliśmy, padał deszcz. Staliśmy w grupie Jego przyjaciół – aktorów na Cmentarzu Powązkowskim, ściśnięci pod parasolami.

Słuchaliśmy słów pożegnania księży i władz ZASP-u. Słowa brzmiały uroczyste i smutno. Deszcz padał jakby płakał razem z nami.

Nagle stojąca ze mną pod jednym parasolem Alina Janowska, zerwała się do przodu mówiąc: „Muszę Mu coś powiedzieć”...

Zaskoczeni usiłowaliśmy Ją powstrzymać, ale ona już była przy wojtkowej trumnie. Pochyliła się.

„Wojtuś, słyszysz mnie?” – powiedziała głośno. Stała się nagle cisza! A Ona mówiła.

„Wojtuś pamiętasz jak przyszedłeś do mnie późnym wieczorem? Razem z reż. Jareckim chciałeś poinformować mnie, że będziemy występować w „Oskarżonych” w STS-ie. A ja byłam chora. Ale to było nic! Przegadaliśmy wtedy prawie całą noc, ze śmiechem, żartami, argumentami, że właśnie ja a nie kto inny, mam grać w tych „Oskarżonych”. Ty Wojtusi miałeś dar przekonywania, no nie? I tak wiedziałam, że nie ma odwołania. Oczywiście ozdrowiałam i już nazajutrz rozpoczęliśmy próby, a potem był już ten pamiętny spektakl, gdzie sala była zawsze pełna... Pamiętasz to Wojtuś?...”

Rozgadała się nam Alina, co chwila dorzucając: „A to Wojtuś pamiętasz?, a to jak razem śpiewaliśmy w autokarze, a to jak razem występowaliśmy na imprezach, a to, a tamto...”

Alina „rozmawiała” z Wojtusiem a gdy czegoś zapomniała, to pytała zebranych na cmentarzu, a aktorzy chórem odpowiadali.

Nagle deszcz przestał padać, wyjrzało słońce, jakby to Wojtek nas obdarzył uśmiechem. Zrobiło się tak swojsko, tak ciepło, a po chwili inni koledzy i przyjaciele zaczęli także mówić do wojtkowej trumny, tak jakby On słyszał. Wspominali chwile, dni i lata z Nim spędzone. Nie było ani urzędowo, ani smutno, tylko tak w wojtkowym stylu. Przypominali wspólne z nim spektakle i różne sceniczne „wpadki”, wspólne wojaże na koncerty, anegdoty i przygody.

Zrobił się jakby happening, jakby Wojtek po raz ostatni wystąpił wraz ze swymi przyjaciółmi w tym wielkim teatrze, jeszcze tu na ziemi, zanim pożegna się na zawsze. Grały Mu liczne, przybyłe z różnych stron Polski zespoły

► Byłem wzruszony i zaskoczony niespotykaną dzisiaj kurtuazją i niewymuszoną grzecznością, która każe dziękować za coś tak oczywistego jak odwiedzenie chorego w szpitalu. Ale Prezydent zawsze był człowiekiem nieskazitelnych manier i niezłomnych zasad – po prostu gentlemanem.

Na początku tego roku znów zostałem zaproszony do Londynu na uroczysty jubileusz 90-lecia urodzin Pani Gene-

rałowej Ireny Bogdańskiej-Anders, które wypadły 12 maja. Byłaby to potrójna uroczystość, bo tego dnia rozpoczęły się walki pod Monte Cassino i również była to rocznica śmierci Generała Władysława Andersa. Obchody objął swoim honorowym patronatem Pan Prezydent Ryszard Kaczorowski. Niestety po drodze był tragiczny 10 kwietnia... Lecąc na uroczystości w Katyniu Prezydent zginął w katastrofie lotniczej pod Smoleń-

skiem wraz ze wszystkimi pasażerami i załogą. Ostatni Prezydent RP na wychodźstwie spoczął w Świątyni Opaczności Bożej w Panteonie Wielkich Polaków, na co w pełni zasłużył całym swoim życiem, będąc żywą historią ostatniego siedemdziesięciolecia naszych dziejów, zarówno tych tragicznych jak i wspaniałych.

Krzysztof Kumor

i kapela ludowe, śpiewały chóry, młodzież ubrana w piękne stroje regionalne kładła naręcza polnych kwiatów, szpale-ry wieńców zaścieniały drogę do grobu, którego już nie było widać spod kwiecia wszelakiego.

Nigdy nie uczestniczyłam w takim pogrzebie. Miałam głębokie przekonanie, że to Wojtek tak nami kierował, tak właśnie chciał!

Odchodził od nas ze słońcem, uśmiechem, muzyką i śpiewem.

A potem był Festiwal Zespołów i Twórców Ludowych „Siemionalia” w Koszalinie. Pojechałam tam dwa miesiące po pogrzebie na zaproszenie reżysera



Teatrów Amatorskich, animatora kultury i impresaria Agencji „Jantar” pana Janusza Pietrzykowskiego, wieloletniego przyjaciela Wojciecha Siemiona. Organizował on od wielu lat w Koszalinie coroczny Festiwal Zespołów Ludowych z udziałem Wojtka, niezwykle tam popularnego. Ileż to lat twórczych oni razem przeżyli. Pisze o tym, we własnym wspomnieniu pan Janusz. Wzruszające są te wspomnienia. Ten niezwykle aktywny i twórczy człowiek nie zrezygnował po śmierci Wojtka z organizacji festiwalu nazwanego „Siemionalia”.

To było prawdziwe święto, bo poświęcone Wojtkowi. Przybyli wszyscy jego wielbiciele i ci, którzy przez wiele lat

w tym festiwalu razem z Nim występowali.

Dziś Wojtek patrzy na nich z wysoka. Na „Cecylianki” ze Strzękocina, na kapelę „Antkowe Pyry” z Koszalina, na „Manowskie Malwy” z Manowa, na zespół „Kalina” z Dobrzycy, na „Polne Grusze” z Biesiekierza, na „Nestora” z Rosowa, na „Czupurki” z Nowych Bielic, na „Córy z Gołogóry” z Polanowa. Można by tak wymieniać bez końca, bo zjechało się ogromnie dużo zespołów, kapel i śpiewaków ludowych. Zapewne powstanie album – pamiętnik o tych pięknych, kolorowych występach z całej ziemi koszalińskiej. Bo jest to doprawdy ewenement na skalę całego kraju.

A fakt, że choć odszedł tego Festiwalu „dobry duch” – Wojciech Siemion, to jest on stale obecny w myślach i tęsknocie za Nim, wszystkich tych, którzy Go znali i Jemu poświęcili tegoroczne „Siemionalia”.

Chcę jeszcze kilka słów poświęcić na moje własne wspomnienia o Wojtku.

Poznałam Go w zamierzonych latach mojej młodości i studiów na Uniwersytecie Warszawskim. Biegałam z grupą studencką na wszelkie jego recitale i koncerty poetyckie. To On pierwszy uławił mi percepcję wierszy Gałczyńskiego. Słuchałam zdumiona, że te wiersze tak dla mnie dotychczas mało zrozumiałe, nagle stały się proste i szczerze, że wszystko pojmuję. Sprawił to kunszt recytacji i cudowna interpretacja aktora Siemiona. To On nauczył mnie słuchać poezję i przybliżył mi jej sens i piękno.

Później, gdy już po studiach zostałam dziennikarką „od kultury” poezja zawsze towarzyszyła mi przy okazji róż-



nych kulturalnych imprez i uroczystości o, których pisałam. A z Wojtkiem Siemionem zaprzyjaźniłam się na dobre i na złe. Pamiętam, jak „doroślałam” pod Jego okiem, bo czytał wszystkie moje reportaże z koncertów, jak czasami chwalił a częściej uczył i podsuwał tomiki wierszy do przeczytania.

Pamiętam mój pierwszy artykuł z jakiegoś młodzieżowego turnieju poezji, który Wojtek pochwalił za wyrażone przeze mnie słowa, że „poezja winna brzmieć” i, że „jest jak ożywczy źródło”.

Z Wojtkiem byłam zaprzyjaźniona także „filmowo”. Często do mnie telefonował zapraszając na filmowy plener, gdy miał kręcić jakąś scenę. Jeździłam na te filmowe plenery, pisałam o pracy nad filmem, bo byłam sprawozdawcą. „Zaliczyłam” kilkakrotnie plenery z „Czterech pancernych”, gdzie Wojtek grał pociesznego kucharza, a film, jak wiemy stał się kultowy.

Pamiętam filmy z udziałem Wojtka. Te obyczajowe, jak: „Zezowate szczęście”, „Alternatywy”, „Świadectwo urodzenia” czy te wojenne, jak: „Skąpani w ogniu”, „Barwy walki”, „Kierunek Berlin”, „Jarzębina czerwona”. Ileż było tych wspaniałych plenerów. Ileż wspaniałych ról Wojtka. ▶



Wojtkowe Siemionalia

O WOJCIECHU SIEMONIE WSPOMNIENIE

Petrykozy





► A w plenerze ileż było wspaniałych spotkań, rozmów, dowcipów, śmiesznych piosenek. Wojtek brylował w tym świecie, a ja przestawałam czuć się jak „poważna” reporterka choć zawsze pamiętałam, by uchwycić w notatkach reporterskich, ten cudowny klimat i słowa całej filmowej ekipy.

Najbardziej zapamiętałam mój pierwszy film, na który zaproszono mnie do Zakopanego. Plenery były naturalnie piękne, a film, „O krasnoludkach i sierotce Marysi”. Bajka dla dzieci. Jednego z krasnoludków, bodajże „Błystka” grał Siemion. Nie to było jednak dla mnie najważniejsze. Ujawnił się bowiem nowy talent Wojtka – astronomia! W przezwaniach między zdjęciami siadywaliśmy

na drewnianych schodach góralskiej chałupy i Wojtek snuł opowieści o niebie. A wieczorem, gdy na sierpniowym niebie pojawiały się gwiazdy, Wojtek ze znanostwem rozpoznawał i określał imieniem wiele gwiazd. O każdej też wymyślał jakąś legendę. Liczyliśmy też spadające gwiazdy i szybko w myślach wypowiadaliśmy życzenia, które miały się spełnić. Do dziś liczę gwiazdy i rozpoznaję tę mi najmiłszą, Kasjopeję.

Jakże żal, że Wojtka już nie ma! Ileż wszyscy straciliśmy. Wojtek Siemion był wielkim animatorem polskiej kultury. I wtedy, kiedy recytował wiersze, wtedy gdy grał w teatrze i filmie, gdy wykladał w Szkole Komunikowania i Mediów Społecznych na wydziale aktorskim, czy gdy

sam organizował koncerty, festyny i konkursy, czy też, gdy przez wiele lat w „Starej Prochowni” prowadził Międzynarodowe Spotkania Poetyckie, na które zjeżdżali poeci z całego niemal świata, czy też wtedy, gdy pisał książkę o Słowackim, Mickiewiczu, Gałczyńskim, Różewiczu, Mironie Białoszewskim, czy wtedy, gdy zapraszał gości na biesiady do swego skansenu w Petrykozach. Był zawsze bliski ludziom, kochali Go i szanowali, bo tak wiele z siebie im dawał.

Wierzę, że Wojtek tam wysoko ma już swoją gwiazdę. Może tam, gdzie jest teraz znów organizuje jakiś festiwal? Kto to wie!

Alicja Wielgoławska
zdjęcia Maria Wilma-Hinz

WSPOMNIENIE

o WOJTKU SIEMIONIE



Zaczął się bardzo prozaicznie. Będąc studentem, mając wejściówki do wszystkich teatrów warszawskich – korzystałem z nich bez przerwy uczestnicząc wówczas w spektaklach, a był to rok 1963 i miałem niesamowite szczęście trafić na wybitne propozycje tychże teatrów. Bardzo często odwiedzałem Teatr STS. Przed monodramem Siemiona siedziałem w przylegającej do sali teatralnej kawiarence. Jak się okazało, była ona przejściem do garderoby aktorów. Miałem przy sobie czapę – taką papachę. Wojtek, przechodząc obok mnie, zauważył ją i poprosił, bym ją po-

życzył do spektaklu. Pożyczyłem i tak się zaczęło. Po spektaklu siedzieliśmy na kawiarence. Poopowiadałem o sobie. Wówczas w Świdnicy prowadziłem (jako warsztat) trzy zespoły teatralne, gdzie aktorami była tzw. trudna młodzież. Zaimponowałem Wojtkowi i już w lutym 1963 roku przyjechał. Zauroczony młodzieżą, pracował z nimi przez kilka dni, w rezultacie został „artystycznym opiekunem” tej młodzieży. Jeździliśmy po wsiach i miasteczkach, tam w Bystrzycy Górnej odnalazł znakomitego artystę ludowego – dolnośląskiego Nikifora (jak Go nazwał) Lurkę – wspaniałe obrazy, tudzież rzeźby.

Ja natomiast bardzo często byłem widzem, a potem lekkim recenzentem propozycji aktorskiej Wojtka – czy to w „Żywocie Józefa” M. Reja, czy „Historii o Chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim” Jana z Wilkowiecka – w reżyserii Deymka i scenografii Stopki. Wspaniałe dzieła. Wówczas Siemionowie mieszkali na Fitelberga – na parterze salon, sypialnie, kuchnia, natomiast w suterenie – salka z barkiem i tam najczęściej odbywały się spotkania z aktorami. Próby Wojtka do propozycji Dymnego „I diabłu ogarek” z moim skromnym udziałem – super czasy! Pamiętam, że w salonie na parterze miał ogromny zbiór ikon, od małych formatów do bardzo dużych 100–150 cm. Niestety okradziono mieszkanie i do tej pory ich nie znaleziono. Jednak duszą mieszkania była PIWKA – tak nazywał swoją żonę.

Kiedyś zajechaliśmy do Karpacza na spotkanie z młodzieżą artystyczną z Polski, a następnie z „Narzeczonymi” Grochowiaka do Jeleniej Góry. Po spektaklu zaproponował Wojtek, by odwiedzić jednego z najznakomitszych grafików polskich, Józefa Gielniaka. Pojechaliliśmy do Kowar, tam w szpitalu przeciwgruźliczym mieszkał Gielniak. Wysoki brunet, bardzo przystojny – mieszkał – zajmując mieszkanie na parterze z rodziną. Wielokrotnie go odwiedziliśmy, niestety w 1972 roku zmarł, natomiast Wojtek przejął opiekę nad Jego jedynym synem. Teraz w Petrykoczach jest pokój Gielniaka, a w nim niemal wszystkie prace artysty.

Na terenie Dolnego Śląska, w ramach prób generalnych sprawdzał swoje propozycje monodramów m.in.: „Monize Clavier” Mrożka, jak również „Wielki testament” Francois Villona – i tutaj mój wkład – przygotowałem scenografie i pelerynę, głównym i jedynym elementem scenografii była szubienica z przewiniętą czarną szarfą – to przy grze światła dawało wrażenie.

Będąc na Dolnym Śląsku uwielbiał odwiedzić u moich rodziców. Ludzie bardzo gościnni, szlachetni i prości. Uwielbiał sery i drób. Toteż przed jedzeniem drobiu mawiał: „kaczki, gęsi i kury przy jedzeniu bierz w pazury”. Robiło się tak swojsko, miło – rodzinnie.

Pod koniec lat sześćdziesiątych został dyrektorem Teatru Komedia na Sierpeckiej w Warszawie. Skompletował wspaniałych aktorów: Alinę Janowską, Zofię Merle, Bogumiła Kobiela, Cezarego Tułskiego, i wielu innych. Kręciłem się w trakcie prób, a Bobek Kobiela zawsze czekał po spektaklu w garderobie i pytał: „No Janusz, co tam było nie tak – a Wojtek chyba to, że Janusz był na widowni...”, ale i tak przekazywałem to, co zauważyłem. Bobek Kobiela i Jerzy Grucza pod pseudonimem Misza Żęziłło napisali sztukę „Czy pani kogoś szuka”. Przewspaniała rola Aliny Janowskiej, która zagrała chyba pięć postaci i Marlenę Dietrich, i esesmankę, i służącą. Widz nie zdążył się zorientować, kiedy i w jakim czasie zmieniała się w inną osobę.

Kiedyś oprowadzałem wycieczkę po teatrze. Na scenie była scenografia właśnie do tej sztuki. Wychowawczyni na początku dostała informacje o spektaklu – tytuł, reżyseria, aktorzy i aktorki. W pewnym momencie chyba zapomniała i mnie pyta: „Jaki tytuł dzisiejszego spektaklu?” – odpowiadam – „Czy pani kogoś szuka” a ona na to: „No właśnie przyjechałam z Grodziska i nie szukam nikogo tylko jestem opiekunką wycieczki”. Wojtek wchodząc na scenę parsknął śmiechem i powiada: „Janusz popraw dykcję”.

Po tym okresie wyjechał do Wrocławia. Sekundowałem Mu przy próbach „Śmiesznego staruszka” Różewicza, tam na scenie Teatru Współczesnego, zawsze przy pełnej widowni, schodził ze sceny przy huraganie braw. Również w czasie wrocławskiego okresu kręcił film „Skąpani w ogniu”. Oj, zwiedziliśmy Dolny Śląsk podziwiając piękno krajobrazu, jak również odnajdując wspaniałych malarzy i twórców ludowych, tym samym wzbogacając petrykowską galerię.

W tym czasie prace przy Petrykozach były już bardzo zaawansowane. Przejmując je od powiatu, zastał stare fundamenty i kupę gruzu. Jak to zobaczyłem, to pomyślałem, że najmie murarzy, cieśli – fachowców. Myliłem się. Oczywiście korzystał z pomocy murarza i cieśli, ale najczęściej pracował sam. Przewertował wiele literatury na temat dworców polskich. Petrykozy stały się Jego pasją.

Najbardziej starał się wiernie odtworzyć dworek. Pamiętam, że budując na linii krzyża, miał dylemat, czy taras po wschodniej stronie będzie odpowiednim? Był. Potem, po wielu latach oszklif

go, tworząc wspaniałą oranżerię (oczywiście przy pomocy Piwki).

W tym czasie jeździł bardzo dużo po kraju. Ze mną, jak sam obliczył, przejechał ponad 70 tysięcy kilometrów. Obserwowałem!!! Tak znalazł wiatraki, kuźnię, karczmę, chaty wiejskie i odkupując a potem demontując je przewoził w częściach do Petrykoz.

Wjeżdżając na posiadłość w Petrykozach, zaraz po prawej stronie, leżała sterła elementów. Wiedział, która część pasuje do potem montowanego obiektu.

Sam pomagałem przy wielu montażach, nawet budowach. I tak: piwnica zimna – kopaliliśmy przez trzy dni – wiedział, że w tym miejscu, w północnej części posiadłości już tam była – i rzeczywiście dokopaliśmy się do kamiennej posadzki na głębokości ponad trzy me-

- **Okres świdnicki, lata 60.**
– Deymek i Stopka
- **Okres Fitelberga**
– Teatr Komedia
- **Okres Petrykoz**
– Teatr „Stara Prochownia”
- **Okres człuchowsko-koszaliński, lata 80-90.**
- **Ostatni okres – nowy wiek**
– i m.in. „Siemionalia”

try, potem murowaliśmy ściany boczne, wejście i rynnę zsypaną, po ośmiu dniach piwnica była gotowa.

Podobnie z tzw. Panderozą – w zachodniej części pomiędzy stawami stanęła stodoła i chata wiejska. Tam Pani Maria przez wiele lat pomagała Piwce prowadzić dom – hodowała drób a nawet krowę. Ponieważ w porze jesienno-zimowej szybko się ściemnia przeprowadziliśmy łącze elektryczne właśnie do tej części, a po drodze między groblą, warzywniakiem a nowym sadem zamontowaliśmy cztery lampy uliczne. Pani Maria była zachwycona.

Innym razem w czasie pobytu w dworku montowaliśmy z całą moją rodziną – żoną Oleńką, synami Dawidem i Kamilem kuźnię. Prawie była już gotowa, gdy zauważyliśmy brak jednego wspornika podtrzymującego dach kuźni. No cóż, trzeba było dorobić. W ruch poszły strugi, toporki, młotki – dorobiliśmy! Na drugi dzień, spacerując przy

bramie głównej, znalazłem oryginalną część. Musieliśmy zdemontować dorobioną a zamontować oryginalną – bo tak się należy – powiedział Wojtek.

Dzień w Petrykozach miał ułożony program. Pobudka i toaleta, lekka zaprawa spacerowa po posiadłości, potem wspólne śniadanie w jadalni przy stylowym stole, gdzie główne miejsce zajmował gospodarz, następnie chwila relaksu i praca do około godziny 11-tej. O tej porze kawa i ciasta – i dalej praca przy montażu lub inna. Około godziny 14-tej obiad i po nim konieczna drzemka minimum pół godzinki, dalej ponownie praca do 18-tej – i podwieczorek. Około godziny 20-tej zjeżdżali albo studenci albo aktorzy – goście Wojtka – i artystyczna biesiada. Wojtek potrafił wykorzystać – w sensie pozytywnym – nadarzającą się okazję. Scenarzysta filmu „Szwadron” upatrzył miejsce petrykozkiego skansenu na przemarsz właśnie szwadronu – oczywiście usypano pomiędzy wiatrakami drogę, a Wojtek nie biorąc za wynajem miejsca ani grosza – poprosił, aby realizatorzy filmu postarali się o założenie śmigieł do obu wiatraków. I tak się stało.

Pierwszy raz do Petrykoz zabrałem mojego starszego syna, wówczas sześciolatka, Dawida – akurat załapał się na czyszczenie dużego stawu przy dworku, tylko struga płynęła pośrodku dna stawu. Bawił się razem z Karoliną – wnuczką Siemionów. W pewnym momencie przybiegł do nas z krzykiem, że Karolina się topi. Co się stało? Wszyscy pobiegliśmy nad staw a tam przy samym odpływie w mule i błocie wydrapywała się Karolina wyglądając jak topielica (tak ją wówczas nazwała Piwka). Okazało się, że oboje sprawdzali, kto jest odważniejszy i kto przeskoczy strugę wody z błotem. Dawidowi się udało, Karolina wzięła za mały rozbieg.

Wspominając bardzo miło pobyt w Petrykozach, zdobyłem wiele doświadczeń, zarówno w pracach fizycznych jak i – po wieczorno-nocnych spotkaniach – artystycznych. Był tam klimat, który na pewno już nie wróci. ŻAL.

Kilkakrotnie też przywoziłem młodzież koszalińską do dworku. Miejsce to było ośrodkiem wypadowym na teren Mazowsza: do Żelazowej Woli, Nieborowa, Warszawy. Ale i tak najbardziej urzekł młodzież sam dworek. W piwnicach ogromny zbiór rzeźby ludowej: świątki, dziesiątki Chrystusów fraszobliwych, krzyże o różnych ornamentach, ludzie przy pracy, rzeźbione ludowe scenki ro- ▶

o WOJTKU SIEMIONIE

► dzajowe, anioły, diabły, (czego tam nie ma??). Na wysokim parterze Wielcy malarze od Grottgera, Fałata, Malczewskiego, Wyspiańskiego do Mai Berezowskiej czy Dudy Gracza przy stylowych meblach, kominku i pamiątkach. Na piętrze – sztuka współczesna i wiele prac zdobytych przez Wojtkę razem ze mną.

Tutaj już jesteśmy w okresie dyrektowania Siemiona w Starej Prochowni. W tym teatrze spełniał się w swojej ukochanej poezji. Ktoś napisał dość trafnie o Wojtku:

„...nie wypije, nie dośni, nie zje;
bo recytuje poezje...”

Uczestniczyłem kilka razy w tzw. „piątkach poetyckich”, poznał mnie z wieloma wielkimi sceny polskiej: Sławą Przybylską, Ryszardą Hanin, Anną Seniuk, Ireną Kwiatkowską, Tadeuszem Łomnickim, Wojciechem Pszoniakiem, Romkiem Wilhelmem, z wieloma już wcześniej się znałem. Uczestniczyłem w próbach spektaklu „Stachuriada” (Stachurę zaliczał do swoich ulubionych twórców, jak również w „Zaduszkach poetyckich” czy „Mironczarni”), potem fragmenty tego spektaklu prezentował na spotkaniach w całym niemalże kraju. Tam był klimat niespotykany w innym teatrze.

Korzystając ze znajomości i przychylności Siemiona – też w Starej Prochowni zaprezentowaliśmy jeden z młodych kabaretów spod koszalińskiej wsi Dygowo – „FAJNA SPRAWA” prowadzony przez Marka Zawadzkiego. Z uwagi na ogromną ilość widzów, spektakl kabaretu powtórzyliśmy dwukrotnie.

Zaraz po studiach przeprowadziłem się na dwa lata do Człuchowa. I tutaj częstymi moimi gośćmi byli Siemionowie. Na zamku pokrzyżackim – gdzie faktycznie Konturem był Konrad Wallenrod zaprezentował poezję Gałczyńskiego, którego uwielbiał. W tym „Zaczarowaną dorożkę” i Dymnego „...i diabłu ogarek”. Dla mnie był MISTRZEM, prywatnie kolegą i przyjaciелеm. Nie pił, chyba, że lampkę koniaku, a wielokrotnie po Jego wyjeździe słyszałem, że widziano Go pijanego – to sposób Jego bycia, z każdym porozmawiał, każdą spotkaną kobietę potrafił ucałować, dawał ludziom szacunek, nie palił. Był normalnym, wspaniałym człowiekiem, wrażliwym na otaczającą Go rzeczywistość.

Po dwóch latach pobytu w Człuchowie przenieśliśmy się do Koszalinu. I tutaj zaczęła się współpraca, niemalże bez przerwy. Przyjeżdżając, często z Piwką,

mieszkał najczęściej u mnie. Za każdym Jego pobytem objeżdżaliśmy najodleglejsze wsie, miasteczka, osiedla, gdzie w nawet najskromniejszych warunkach scenicznych, wykorzystując krzesło jako scenę-estradę, prezentował fragmenty swojego dorobku artystycznego.

Tutaj poznał znakomitą malarzkę z Polanowa – Wiesię Pietrzak, malarzy: Preislera, Wasilewską i ostatnio znakomitego Zbigniewa Murzyna, rzeźbiarzy: Rbiegę (rzeźba marynistyczna), Michalskiego (wspaniałe anioły), Godyle (Chrystusi frasobliwi i ludzie przy pracy, Kostkę – świątki) i wielu innych. Prace tych twórców też znajdują się w Wiejskiej Galerii Sztuki w Petrykozach.

Byłem siedem razy szefem Biura Organizacji Festiwalu Chórów Polonijnych. Imprezą towarzyszącą temu festiwalowi był jarmark folklorystyczny i Kapeliada – uczestniczyli w tej propozycji twórcy z całego kraju. W tym zakresie niesamowitą pomoc otrzymałem od Wojtkę – reżyserował Kapeliady, wskazywał twórców z kraju do zaproszenia, a potem „był” z nimi. Z tych imprez również wiele prac ludowych znalazło swoje miejsce w Petrykozach.

Kilka lat temu znakomity malarz Zbigniew Murzyn otworzył autorską galerię „U MURZYNA”, Siemion zachwycił się tym malarstwem i był – jakoby duchowym patronem galerii. Co roku na przełomie czerwca i lipca organizowaliśmy spotkania z Siemionem, gdzie razem z nim prowadziliśmy charytatywne aukcje obrazów na rzecz hospicjum, szkół specjalnych czy też DPS-u Cetuń. Tam, na pełnym luzie uraczał sobą i tekstami uczestników, a przede wszystkim sam się doskonale bawił, tryskając dowcipem i humorem a przy tym bardzo chytrze sprzedawał obrazy uzyskując – jak na Koszalin – wysokie ceny. W tym roku poprowadziliśmy aukcję wspomnieniową, w której uczestniczyła Basia Siemion – wdowa po Wojtku, redaktor Alicja Wielgoławska wiceprezes Klubu Publicystyki Kulturalnej SDP oraz znakomita aktorka Emilia Krakowska.

Wędrowki po Koszalińskiem nie ominęły Domów Pomocy Społecznej w Cetuniu i WłóciBORZU oraz Zakładu Karnego w Czarnem. Tam szczególnie przypadły do serca teksty Słonimskiego i Wory. Znał każdą miejscowość i mnie, mieszkańcy Koszalinu od 1973 roku, wskazywał drogi dojazdu. W czasie naszych podróży uczył mnie jak rozumieć podteksty w wierszu, jak stosować roz-

ziew międzywyrazowy, co to średniówka i jak akcentować wybrany utwór. Nie obyło się bez rozmów na tematy aktualne. Żył nimi i patrzył z pesymizmem na naszych polityków, ich zachowania i sposób bycia prawie wszystkich. Uwielbiał Komorowskiego – częstego gościa Petrykoz. Czytając Jego odpowiedź na Reja „Członkowie serca królem wybrali”, a Komorowski napisał odpowiedź „Weschnienie do pani De”!

„...Nie zawsze jest piękna, nie zawsze cnotliwa, nie zawsze jest mądra, a często kłótniwa. Bywa, że czasami trudno z nią wytrzymać, że chce się jej przyłapać, że trzeba się zżymać. Lecz jak jej nie pragnąć, jak jej nie miłować. Jak nie chcieć jej szczęścia, jak jej nie szanować? Jej, przez lata śnionej, jej zdobytej z trudem – Pani De...De-mokracji, która wciąż jest cudem.

Bo mogło jej nie być, mogła być ludowa – a jest, jak my sami – średnio standardowa...”

Znał ten wiersz na pamięć i często powracał do niego śmiejąc się i chwalać autora.

Rozmawialiśmy o synu Wojtkę Krzysztofie, wnuczce Karolinie (nadzieja Wojtkę na skatalogowanie Petrykoz), a często o wspaniałej – kochającej Go Piwce.

W roku 1985 jechaliśmy z Kołobrzegu. W radiu usłyszeliśmy wiadomość o pożarze Teatru Narodowego, powiedział do mnie: „...patrz Janusz, co się dzieje: komuna pali serce Narodu Polskiego!”. Wyraz twarzy miał taki, jakiego dotychczas nie widziałem.

Innym razem – przed pięciu laty – zadzwonił do nas wczesnym rankiem. Telefon odebrałem – nie poznałem głosu – ze szlochom powiedział: „Januszu dzisiaj w nocy zmarła Piwka, życie dla mnie się skończyło”. Trudno w takiej chwili rozmawiać, pocieszać. Złożyłem kondolencje z gwarancją pomocy w każdej sytuacji.

Pojechałem do Petrykoz wraz z grupą młodzieży powiatu koszalińskiego po kilku tygodniach. Tam nocowaliśmy – ja jak zwykle w pokoju Gielniaka (zawsze tam spałem), młodzież w śpiworach na materacach. Odwiedziliśmy grób Piwki, posprzątaaliśmy dworek i przylegające tereny, a jednocześnie młodzież zwiedziła Mazowsze i Warszawę. Trochę przeskoczyłem chronologię czasową, ale śmierć Piwki była dla niego ogromną tragedią.

Od tej pory zaczął pracować nad wy dawnictwem poświęconym żonie, pod

kolejnymi tytułami „DAR: pierwszy, drugi, trzeci...” Na obwołucie zawsze portret Piwki, a wewnątrz każdego, Jego wpisy dość podobne, ale zawsze trochę inne, np.: „Oli i Januszowi, by nadal pamiętali o Piwce, a przy okazji o mnie...”, „Oli i Januszowi – dalsze wspominki... Januszu! A wspomnij o Piwce...itp. Wydał ich osiem.

Pewnego dnia, przed dziewięciu laty otrzymałem telefon ze Starostwa Powiatowego w Koszalinie – dzwonił pan Józef Rutkowski – z propozycją, aby na terenie powiatu odbywały się coroczne spotkania kapel, zespołów ludowych i twórców pod nazwą SIEMIONALIA. Wojtek z radością zaakceptował propozycję, używając nazwiska tej imprezy. Uczestniczył w każdej z nich nadając rangi, powagi, uśmiechu i radości w swoich propozycjach scenicznych. Pierwsze „Siemionalia” odbyły się w Sali Domu Kultury w Świeszynie. Tłok, brak miejsca, pełna widownia zmusiły organizatorów do prezentacji w plenerze. Już następne, w Niedalinie na wolnym powietrzu, pozwoliły na prezentacje twórców ludowych w pełnej krasie. W ośmiu uczestniczył Wojtek: w Dobrzycy, Unieściu-Mielnie, Bobolicach, Manowie, dwa razy w Rosnowie, w ośrodku „Ranczo”. Tam też odbyły się dziewięć – wspomnieniowe. Odbyły się z udziałem Basi Kasper-Siemion – wdowy po Wojtku Siemionie oraz z red. Alicją Wielgoławską (SDP Warszawa) i Emilią Krakowską.

Teraz w ośrodku „Ranczo” jest domek z napisem: „DOMEK WOJCIECHA SIEMIONALIA”. Przyjechałem na dziewięć Siemionalia z Basią – wdową po Siemionie – jeszcze świeżo po wypadku, jeszcze z sińcami i do końca niewyleczonymi urazami obojczyka. Nie wysiadła z samochodu, siedziała na przednim siedzeniu i gdy zobaczyła tablicę – płakała.

W czasie przygotowań do piątych Siemionalii Wojtek oświadczył mi, że na Siemionaliach sprawi nam niespodziankę. Otóż rzeczywiście sprawił i to niesamowitą – przywiózł swoją nową żonę – Basię Kasper-Siemion. Urocza kobieta, wspaniała dusza, bardzo kontaktowa i zawsze uśmiechnięta. Obie żony – moja i Wojtka przypadły sobie do gustu i zaprzyjaźniły się natychmiast. Pragnęli zamieszkać w Mielnie. Załatwiłem super pokój, tuż nad morzem. Rankiem jechaliśmy do DPS-u w Cetuniu, a Wojtek markotny. Co się dzieje? Pytam. A on na to: „Janusz, wiesz, ja tak bardzo lubię przytulić się do Basi, a w pokoju łóżka osobno”. Zaśmiałem się głośno i powiedziałem:

„masz to załatwione!!! I tak się stało. Już następnego dnia na Siemionaliach był radosny i wesoly.

Trzy lata temu, Towarzystwo Przyjaciół Dzieci z Koszalina poprosiło mnie bym namówił Wojtka, aby wystąpił z koszalińskimi VIP-ami na grudniowej imprezie charytatywnej z dochodem przeznaczonym na Mikołaja dla ubogich dzieci. Natychmiast powiedział tak, pomimo tego, że musiał nauczyć się fragmentu z Reymontowskich „Chłopów”.

W Koszalinie pracuje od 1959 roku Teatr Propozycji DIALOG, założony przez nieżyjącą już uczennicę Osterwy – Henrykę Rodkiewicz. Zaproponowałem Wojtkowi, aby stworzył małe studium wiedzy o teatrze, gdzie raz w miesiącu odbywałyby się zajęcia z młodzieżą, prowadzone przez nauczycieli akademickich z zakresu teatru i interpretacji poezji. Oczywiście przystał na to. Uczestników nie mogła pomieścić sala widowiskowa teatru. On był „dziekanem”, a zajęcia prowadzili: E. Krakowska, B. Wrześciński, M. Stuzińska, O. Łukaszewicz, J. Żelnik, E. Żentara i inni. Wojtek był dumny z tego przedsięwzięcia, a młodzież – zachwycona, tym bardziej, że Wojtek przekazywał swoje, wydane drukiem LEKCJE CZYTANIA: Różewicza, Mickiewicza, Reja, Białoszewskiego, Wata. Ja natomiast każdą z pozycji wydawniczych otrzymałem z osobistym wpisem. I tak: przy Reju „...Januszu! Pamiętaj, że tu jest współczesność. Polecam Ci anegdotę ze str. 181/182”; przy Białoszewskim „Januszowi z przyjaźnią – ten piąty zapis...”; przy Różewiczu: „...Januszu!... ileż to razy różewiczowaliśmy...”; „to mi się udało wydać na 85. urodziny POETY”; przy lekcji czytania Wata: „Januszu – to jest znakomity POETA, ale bardzo trudny do odczytania...Przeczytaj chociaż ten pierwszy rozdział...”; i pod każdym wpisem Wojtek lub Wojciech Siemion. Najbardziej jednak sobie cenię wpis, który jest jakoby dokumentem naszej przyjaźni, w książce niemalże biograficznej napisanej przez Józefa Plessa „O Wojtku Siemionie”, a oto wpis: „O!O!O!OLI i JA /Wojtek Siemion/ JA...NUSZOWI BY UPAMIĘTNIĆ NASZE WSPÓLNE 45 LAT PRZYJAŹNI.

Ostatni raz u nas w domu był Wojtek z Basią w grudniu 2009 roku. Zaplanowaliśmy ciąg dalszy Studium dla młodzieży w Teatrze DIALOG oraz kolejne IX Siemionalia. Kontaktowaliśmy się wielokrotnie, gdyż załatwiłem plener malarzy w Petrykozach z udziałem m.in. koszalińskiego malarza Zbigniewa Murzyna

wraz z kilkoma innymi tworzącymi grupę NOWY WIEK. Plener się odbył. W Petrykozach odczytano Manifest tej grupy, twórcy pozostawiali obrazy dla Siemiona przede wszystkim dla Unii Petrykowiek. Sam Siemion odczytał do kamer ten Manifest o pięknie i sztuce.

Dwa dni przed wypadkiem rozmawiałem z Wojtkiem ustalając termin przyjazdu oraz propozycje na scenę. Wszystko było, jak mówi młodzież, OK. Zastanowiło mnie tylko to, że właśnie teraz Wojtek zwrócił się do mnie cytując: „Januszu, pamiętaj, jakby mnie nie było, chciałbym, żeby Siemionalia odbywały się bez przerw. Przecież wiesz, że dzięki Siemionaliom istnieją Małe Siemionalia...”, odpowiedziałem: mnie prędeż zabraknie niż tak zdrowego i zawsze czerstwego chłopaka...No, no, no! Odpowiedział i jak zwykle dodał: pozdrów Dawida, Kamila – ściskam i przytul Oleńkę...”

22 kwietnia otrzymałem telefoniczną tragiczną wiadomość, że na trasie z Płocka do Petrykoz, pod Sochaczewem, Wojtek wraz z Basią uczestniczyli w kolizji samochodowej. Natychmiast zadzwoniłem do szpitala w Sochaczewie. Dostałem informację, że Wojtek jest w śpiączce farmakologicznej a Basia przewieziona została z obrażeniami do szpitala w Warszawie. Stały kontakt z wnuczką Siemiona – Karoliną pozwolił na bieżąco orientować się w stanie zdrowia poszkodowanych. Jednak 24 kwietnia o godzinie 13.21 otrzymałem tragicznego sms-a od Karoliny, cytując: „Panie Januszu, piszę, bo nie mam siły dzwonić. Dziś o 11.50 zmarł mój dziadek Wojtek Siemion”.

Nie mogłem i nie mogę znaleźć sobie miejsca. Dla mnie On żyje, jest u nas, siedzi w moim samochodzie, dalej pomaga odnaleźć mi właściwy kierunek jazdy.

Byłem na pogrzebie w Kościele św. Boromeusza na Powązkach. Biskup pomocniczy z Łowicza pożegnał Wojtka jak prawdziwy PRZYJACIEL. Było bardzo ciasno, stałem obok Basi i rozmawiałem z Nim, potem na cmentarzu wojskowym przy karawanie ponownie przeprowadziłem rozmowę – żałowałem, że nie ja prowadziłem samochód tam pod Sochaczewem. ON JEST BARDZIEJ POTRZEBNY.

Janusz Pietrzykowski

Reżyser, animator kultury
w T.A. Impresariat Agencji „Jantar”
w Koszalinie



Wanda Pawlikowska, Edmund Wayda,
„Wiktoria i jej Huzar”, 1948

3 sierpnia br. pożegnaliśmy na Cmentarzu na Starych Powązkach Edmunda Waydę – śpiewaka, aktora, reżysera i dyrektora teatrów muzycznych. Dla mnie ta chwila była wspomnieniem sprzed ponad 60 lat. W latach 1947–50 bywałem często w Lublinie. Oglądałem wiele

Edmund WAYDA

studiami prawniczymi pobierał prywatne lekcje śpiewu w konserwatorium.

Po wkroczeniu wojsk radzieckich został wywieziony w głąb Rosji. Tak, jak wielu Polakom w wydostaniu się z łagru pomogło mu powstanie armii generała Andersa. Niestety do Swierdłowska dotarł już po jej wymarszu.

W mieście był Kombinat Operetkowy, w którym była szkoła teatralna z internatem i teatr muzyczny. Edmund Wayda staje do przesłuchania i dostaje się z uprawnieniem przyspieszonego ukończenia szkoły. Wkrótce zostaje zaangażowany do teatru jako pierwszy tenor. Gra Tassila w „Hrabinie Maricy”,

Lalek na Skarbowej wystawia „Wesołą wdówkę”. Niemalże w tym samym czasie Irena Grywińska, Antoni Fusakowski i Franciszek Bedlewicz otwierają „Komedię Muzyczną” i przyjmują do siebie grupę Edmunda Waydy. Jako „gwiazdy” angażują Elnę Gistedt i Kazimierza Dembowskiego. Wystawiają „Hrabinę Maricę” w reżyserii Kazimierza Dembowskiego. Edmund Wayda gra Żupana i za tę rolę otrzymuje od Magdaleny Samozwaniec najlepszą recenzję Jego życia: „Wayda przeszedł Mariszkę, dla którego Kalman pisał tę rolę”.

W sezonach 47/48 i 48/49 jest aktorem Teatru Muzycznego im. Żołnierza Polskiego w Lublinie. W zespole teatru



Na zdjęciach:
Irena Brodzińska,
Edmund Wayda,
Ewa Krasiejko,
„Wiktoria i jej Huzar”, 1958



”

Nie zostawił nagrań,
nie ma rejestracji wizualnych
Jego spektakli.
Pozostaną tylko wspomnienia,
fotografie, recenzje, afisze...
i Jego córka, znakomita wokalnica,
aktorsko i tanecznie –
Grażyna Brodzińska,
która kontynuuje tradycje rodzinne

”

(18. 12. 1912 – 28.06.2010)

spektakli w Teatrze Muzycznym im. Żołnierza Polskiego i podziwiałem na scenie pana Edmunda.

Zacznijmy jednak od początku. Edmund Wayda urodził się 18 grudnia 1912 roku w Wiedniu. **Przed II wojną światową ukończył prawo na Uniwersytecie Lwowskim, a równocześnie ze**

Mister X'a w „Cyrkówce” i Adama w „Ptaszniku z Tyrolu”. Następnie zostaje przeniesiony do teatru w Czelabińsku, również na stanowisko pierwszego tenora.

W kwietniu 1946 roku udaje mu się (z wielkimi trudnościami) wrócić do kraju, do rodziny w Krakowie. Organizuje tutaj swój pierwszy zespół i w sali Teatru

są: Wanda Pawlikowska, Barbara Grabowska, Elżbieta Świąćicka, Irena Bator, Halina Szawłowska, Kazimierz Dembowski, Edmund Wayda, Jerzy Golfert, Marian Kondracki, a po fuzji z Teatrem Miejskim: Janina Łaszczyk, Stefania Cybulska, Alina Żeliska.

8 listopada 1947 r. – premiera „Wesołej wdówki” F. Lehara, w reżyserii

E. Waydy z W. Pawlikowską, E. Świącicką, E. Waydą, M. Kondrackim i J. Golfertem.

26 grudnia 1947 r. – rewia „Ściany mają uszy” z Pawlikowską, Szawłowską, E. Waydą i Kondrackim na czele zespołu.

6 stycznia 1948 r. – „Hrabina Marica” E. Kalmana w reż. E. Waydy z Pawlikowską – Marica, Grabowską – Liza, Bator – Cyganka, J. Golfertem – Tassilo, Wayda – Żupan (rec. „pefen werwy, humoru, a przy tym świetnie tańczący”).

8 lutego 1948 r. – „Trzej Polacy w Ameryce” (wodewil Danielewskiego w adaptacji i reżyserii T. Wołowskiego, E. Wayda jako Wojciech Jeszka).

18 marca 1948 r. – premiera „Rozkosznej dziewczyny” Benatzky’ego w reż. T. Wołowskiego. „Spektakl był wyśmienity, ani jednej słabej roli” (R. Zarewicz – „40 lat sceny muzycznej w Lublinie”. R. Zarewiczowi zawdzięczam tak dokładny opis).

E. Wayda w roli Feliksa, a reszta znakomitej obsady to W. Pawlikowska, E. Świącicka, B. Grabowska, I. Pieńkowska (primabalerina w roli Ludwika), J. Golfert, M. Kondracki, Z. Żadejko (choreograf w roli aktorskiej).

Przeciwnicy operetki doprowadzili do jej zamknięcia. Na pożegnanie zostały zaprezentowane dwa spektakle „Rozkoszna dziewczyna” i program benefisowy, w skład którego wchodziły „Rapsodia” (balet), I akt „Maricy”, III akt „Wesołej wdówki” i „Rozkosznej dziewczyny”.

Po likwidacji Teatru Muzycznego sprowadzono wprawdzie operetki, ale ich poziom nie zawsze był zadowalający. Dyrektor Maksymilian Chmielarczyk postanowił reaktywować scenę muzyczną. Miał do dyspozycji parę znakomitych solistów: W. Pawlikowską i E. Waydę, bo reszta dawnego zespołu „wyemigrowała”. Na otwarcie wybrał operetkę, w której wystarczyła para śpiewaków. Resztę obsady mógł uzupełnić śpiewającymi aktorami dramatycznymi: Stefanią Cybulską, Janiną Łaszczyk, Marianem Kondrackim i... Wiesławem Michnikowskim (Koko, którego dublował Waldemar Januszkiewicz). Premiera „Targu na dziewczęta” odbyła się 10 grudnia 1948 roku.

29 grudnia 1948 r. premiera opowiadania „Wiktoria i jej huzar” w reżyserii K. Dembowskiego, który grał rolę Cunlightha, Wiktoria była znakomita W. Pawlikowska, S. Cybulska (Lia San), A. Żeliska (Riqnett), M. Kondracki (Janczi), E. Wayda (Koltay), W. Januszkiewicz (Ferii). Żeliska i Kondracki, którzy w duecie „Do do” porwali widownię, musieli bisować (by-

łem, widziałem i do dzisiaj uwielbiam „Wiktoria” i ten duet).

4 marca 1949 r. wystawiono „Chatę za wsią” wg Kraszewskiego. Spektakl zawiodł. Udowodnił, że miraż dramatu z operetką nie był najlepszym pomysłem. Teatr Muzyczny uzyskał samodzielność.

23 kwietnia 1949 r. premiera „Króla włóczęgów” w reżyserii K. Dembowskiego. Znowu wielka lista nazwisk, które się powtarzają (nowe to Waclaw Waclawski), w epizodzie cyganki zachwyliła urodą i talentem Teresa Lassota. E. Waydę chwalono za rolę Rene.

4 czerwca 1949 r. premiera „Czaru walca” O. Straussa. E. Wayda z temperamentem zagrał porucznika Niki. Była to ostatnia rola Waydy w Lublinie. W ciągu dwóch sezonów zagrał 8 wiodących ról i wyreżyserował 3 pozycje.

W sezonie 49/50 występuje w Teatrze Polskim w Poznaniu (scena: Komedia Muzyczna). Niestety dokumentacja z tego okresu jest niewielka. Zagrał Ryszarda w „Ja tu rządzą” (W. Rapackiego/syna, reż. S. Orzechowski); Fabrycjusza w „Mirandolinie” Goldoniego (reż. T. Trzciniński). Tytułową rolę grały na zmianę: Marysia Życzkowska i Hanka Bedryńska. Kazio Brusikiewicz grał markiza Forlipopoli. Miał w tym spektaklu scenę, w której zjadał całą dużą „stefankę” lub inne duże ciasto. Koledzy prosili „Kaziu daj kawałek! – Nie, bo to dla mnie! Do mojej sceny!”. Po pięciu dniach błagał kolegów: „zjedzcie chociaż kawałek!”, ale koledzy twardo odmawiali. Bardzo cierpiał. W obu spektaklach widziałem pana Edmunda i bardzo mi się podobał. Był „kolorowy” w tekście i prowadzeniu roli.

W 1951 r. Kazimierz Pawłowski angażuje Waydę do Operetki Łódzkiej. Sądzę, że współpracował też z „Osą” i „7.15”, ale nie ma na ten temat żadnych informacji.

W 1954 roku zwerbował E. Waydę do współorganizowania Operetki Gliwickiej ówczesny dyrektor Opery Bytomskiej p. Stal. Pozostaje w Gliwicach do końca sezonu 55/56. Role, które zagrał to Edwin w „Księżniczce Czardasza” w reż. Romana Niewiarowicza (prem. 23.01.1954 r.); Marco w „Swobodnym wietrze” w reż. Jerzego Zagalskiego (prem. 14.12.1954 r.); Baron Konrad d’Aubrais w „Cnotliwej Zuzannie”, w reżyserii Danuty Baduszkowej i Jerzego Merunowicza (31.12.1955 r.); Jim i Havley w „Rose Marie” w reżyserii D. Baduszkowej.

Na prośbę władz Szczecina (1956 r.) jedzie tam, by zająć się organizacją Ope-

retki Szczecińskiej. Pierwszą premierą była „Kraina uśmiechu” Lehara w Jego reżyserii. Gra rolę Su Chang’a. Partneruje mu Wanda Polańska, w partii Lizy.

Następną pozycją była „Cnotliwa Zuzanna”, w której gra Barona Konrada d’Aubrais i którą reżyseruje. Następną reżyserią jest „Zemsta nietoperza” J. Straussa. Gra rolę Eisensteina (10.05.1958 r.), po niej również w Jego reżyserii z rolą Koltaya – „Wiktoria i jej huzar” (01.12.1958 r.). Po niej „Księżniczka Czardasza” E. Kalmana z rolami: Edwina, Boniego. Jest reżyserem i inscenizatorem (18.06.1959 r.). Następną operetkę „Cnotliwą Zuzannę” reżyseruje D. Baduszkowa (14.05.1960 r.), Wayda powtarza swoją rolę barona d’Aubrais. Po „Zuzannie” reżyseruje „Rozkoszną dziewczynę” (16.05.1961 r.) i gra Feliksa. Kolejne pozycje repertuarowe w Jego reżyserii: „Baron cygański” J. Straussa (4.10.1961 r.); „Bal w Savoyu” P. Abraham (13.03.1963 r.); „Can-can” Cole Portera (29.01.1964 r.); „Wesoła wdówka” F. Lehara (14.10.1964 r.); „Ptasznik z Tyrolu” Karla Zellerera; „Dziękuję ci Ewo” – Stanisława Renza (12.10.1966 r.); „Hrabina Marica” E. Kalmana (19.07.1967 r.).

Jak wspominał Edmund Wayda w swoim życiorysie, miał również zasługi w odkrywaniu i promowaniu talentów. Oprócz wymienionej już Wandy Polańskiej za swój sukces uważał wypatrzony w chórze Rozgłośni Łódzkiego Radia – Teresy Żylis-Gary. Dostrzegł również talent Paulosa Raptisa, Zygmunta Apostoła, Barbary Zagórzanki i najbardziej cenionego przez siebie, rozpoczynającego karierę w Szczecinie Ryszarda Karczykowskiego.

Dwadzieścia lat temu wyjechał do Niemiec. Mieszkał w Hanowerze, gdzie grał Tewiego w „Skrzypku na dachu” w inscenizacji broadwayowskiej.

Po przejściu na emeryturę wraz z żoną Danutą Kobyliańską-Walas dzielili czas między Warszawę i Hanower.

Przeżył prawie całe swoje życie. Odszedł od nas 28 czerwca 2010 roku w Hanowerze.

Nie zostawił nagrań, nie ma rejestracji wizualnych Jego spektakli. Pozostaną tylko wspomnienia, fotografie, recenzje, afisze...i Jego córka, znakomita wokalistka, aktorka i tanecznica – Grażyna Brodzińska, która kontynuuje tradycje rodzinne.

Zbigniew Rymarz

Zygmunt Wiehler

Dlaczego w Biuletynie Informacyjnym ZASP-u piszę o kompozytorze?

Wkład Zygmunta Wiehlera w historię polskiej muzyki baletowej, filmowej, operetkowej i wodewilowej, w historię polskiej piosenki jest imponujący.

Pana Zygmunta poznałem bliżej 5 września 1975 roku. Byłem wtedy kierownikiem muzycznym Polskiego Baletu Charakterystycznego i między innymi do moich obowiązków należały propozycje repertuarowe. Programy miały składać się z kilku obrazków baletowych, duetów i solówek. Mając skryształizowane pomysły (w tym miniatury baletowe Feliksa Parnella) wybrałem się do biblioteki muzycznej PWM i działu muzycznego Biblioteki Narodowej. Nie mieli niczego. W rozmowie z reżyserem dźwięku i kierownikiem Taśmoteki Radiowej powiedziałem o moich problemach. Okazało się, że ma nagrania muzyki Z. Wiehlera do czterech parnellowskich miniatur baletowych. Teraz musiałem zdobyć nuty do prób. Zatelefonowałem do pana Z. Wiehlera. Zgodził się na spotkanie. Z wielkim trudem udało mi się wypożyczyć nuty, po podpisaniu rewersu z dopiskiem, że przyjmuję za nie odpowiedzialność.

Mając nuty i nagrania namówiłem (nie bez oporów) dyrektora artystycznego Mikołaja Kopińskiego, żeby zaproponować Feliksowi Parnellowi ustawienie kilku miniatur baletowych z jego dorobku choreograficznego. 12 września witał nas profesor Parnella okazała wiązanką kwiatów. Na pierwszy ogień poszedł obrazek „Umarł Maciek, umarł”.

Po tym – chyba przydługim wprowadzeniu wracam do bohatera tego artykułu.

Zygmunt Wiehler urodził się w Krakowie 10.02.1890 roku. Tu ukończył gimnazjum klasyczne i studia muzyczne w Konserwatorium Towarzystwa Muzycznego. Jego profesorami byli: Władysław Żeleński, Feliks Nowowiejski i Bolesław Walek-Walewski.

Jak piszą w Nr 16 tygodnika „As” z 16 czerwca 1935 roku: „Rozpoczął komponowanie niemal w dzieciństwie. Jeden z pierwszych jego utworów „Na falach łódź” był włączony do ilustracji „Kupca weneckiego” wystawianego w teatrze krakowskim za dyrekcji Solskiego. Mało kto wie, że to on jest autorem popularnych piosenek legionowych, między innymi: „Trębaczka” i „Zjechali do wsi żołnierze.”

W początkowym okresie komponował utwory z dziedziny muzyki chóralnej (wykonywane przez chór akademicki oraz „Lutnię”), kantaty, kwartety i pieśni poważne. Był twórcą muzyki symfonicznej, baletowej, operetkowej, wodewilowej, filmowej, oraz około tysiąca piosenek i utworów tanecznych.

Przed I wojną światową, mając 19 lat zostaje kapelmistrzem w teatrze Majdrowicza w Sosnowcu. Komponuje 1-2-aktowe operetki, a w 1910 roku – 3-aktową „Gwiazdę Kaukazu” do tekstu Stefana Turckiego.

W sezonie 1913–1914 zostaje kapelmistrzem w Operze Poznańskiej za dyrekcji B. Szczurkiewicza. Wybuch I wojny światowej zastaje Go w Warszawie. Jako poddany austriacki jest internowany do Rosji. Pracuje jako taper w kinach, prowadzi orkiestry. W Rosji zetknął się z Arnoldem Szyfmanem, Wojciechem Brzdzińskim, Stefanem Jaraczem, Juliuszem

Zygmunt Wiehler



(10.02.1890 – 26.12.1977)

Osterwą, Franciszkiem Rychłowskim i Stanisławą Wysocką. Współpracuje z nimi jako kompozytor i ilustrator muzyczny polskich spektakli w teatrach Moskwy i Kijowa.

Po rewolucji – w 1917 roku – dyrygował orkiestrami w sowieckich teatrach wojskowych. Kilka jego operetek wystawił teatr w Charkowie. Przez pewien czas pracował w Bułgarii.

W 1919 roku, po powrocie do Polski angażuje się do krakowskiej operetki „Nowości” prowadzonej przez Tadeusza Pilarskiego. W 1920 roku Pilarski wystawia „Gwiazdę Kaukazu”. Operetka odnosi wielki sukces. Stanisław Niewiadomski w entuzjastycznej recenzji porównuje Zygmunta Wiehlera z Leharem i Kálmánem. Nazwał go „polskim Straussem”.

Po tym sukcesie Wiehler przenosi się do Warszawy. Zostaje dyrygentem, najpierw w „Wodewilu” potem w warszawskich „Nowościach”. Wystawiana przez Ludwika Śliwińskiego „Gwiazda Kaukazu” staje się kolejnym sukcesem. Pozycja Wiehlera jest ugruntowana. Sypią się propozycje dla kompozytora i dyrygenta. Teatr Współczesny wystawia w II części programu operetkę Wiehlera „Cnotliwy gubernier”.

W „Qui Pro Quo” I część programu rewii wypełnia operetka Własta i Wiehlera „Amerykanka”. Przez pewien czas jest w „Qui Pro Quo” dyrygentem. Po zatargu zespołu z dyrekcją „Qui Pro Quo” grupa aktorów odchodzi i otwiera teatr „Perskie Oko”. Kierownikiem artystycznym jest Konrad Tom, muzycznym Wiehler. W 1926 roku „Perskie Oko” zostaje zamknięte. Po przerwie (26.04.1927 roku) kierownictwo artystyczne przejmuje

Andrzej Włast, a muzyczne Zygmunt Wiehler. W sezonie 1927/28 zostaje dyrygentem teatru „Nowości”. W 1929 – z okazji otwarcia pierwszych Targów Poznańskich Leon Schiller i Zygmunt Wiehler wystawiają w teatrze „Rewia w Poznaniu” (wg egzemplarza nutowego) chyba dwie rewie: „Jazda na wystawę” i „Kulig”.

Od 1930 roku Wiehler „jest wszędzie”: „Wesoły Wieczór” z dwoma przebojami: „Niebieskim walcem” (piesenka tytułowa rewii) i „Tomasz, ach Tomasz”; „Ananas”; „Cyganeria”; „Banda”. W 1933 roku po objęciu „Morskiego Oka” przez Leona Schillera dyryguje operetką „Bocaccio”, w 1934 roku „Stara Banda w Hollywood” (Hoża 38); jest dyrygentem w I programie „Wielkiej Rewii”.

W 1935 roku przez sześć tygodni dyryguje w Teatrze Ateneum (komedią muzyczną Bekeffiego „Mądra mama”).

W latach 1935–39 współpracuje z Baletem Parnella. Prawie trzy czwarte kompozycji do miniatur baletowych zespołu jest dziełem Zygmunta Wiehlera: „Umarł Maciek, umarł”; „Dożynki”; „Chłopcy malowani”; „Janko muzykant”; „Roztańczona baba”; „Wesele łowickie”; „Piraci”; „Lajkonik”; „W każdym porcie dziewczyna”; „Tańcowały dwa Michały”; „Świr, świr za kominem”; „Komik zwierzyński” i inne. Z Baletem Parnella objeżdża Europę. W przerwach występują w kraju w „Wielkiej Rewii” i trasie po Polsce.

W 1936 roku na XI Olimpiadzie w Berlinie poprzedzony Międzynarodową Olimpiadą Taneczną, Balet Parnella uzyskał I miejsce, a Zygmunt Wiehler za swoje kompozycje brązowy medal. W 1937 roku ponowny występ w „Wintergarten” z udziałem H. Ordonówny.

W czasie okupacji utrzymuje się z gry na fortepianie w kawiarniach „Ziemiańska”, „Pół Czarnej” i „Rio Rita”, potem obejmuje kierownictwo muzyczne w teatrze „Nowości” (Mokotowska 73). Po powstaniu przebywa w Częstochowie. A od 1945 roku współpracuje z teatrami łódzkimi: „Lutnia”, „Osa”, „Syrena”, Teatrem Domu Żołnierza, a także Teatrem Domu Wojska w Krakowie, od 1951 do 1964 roku był kierownikiem muzycznym biura koncertowego „Artos” i kapelmistrzem zespołu baletowego „Artosu” – „Malwy”, którego choreografką i dyrektorką była znakomita tancerka – Stanisława Stanisławska.

W 1951 roku skomponował suitę ludową (w 6 częściach) „Od Bałtyku do Karpat” na chór i orkiestrę symfoniczną



Maria Łapińska i Feliks Parnell

Zizi Halama i Feliks Parnell w miniaturze „Cyrk 3”



(w tym samym roku była wystawiona w Filharmonii Łódzkiej) i poemat symfoniczny „Pogoda i burza” (nagrany przez Orkiestrę Polskiego Radia pod dykcją S. Rachonia). Po roku 1964 zajął się wyłącznie komponowaniem.

Jak już pisałem dorobek Wiehlera był olbrzymi:

Filmy: „Ada to nie wypada” 1936 r., „Ułan księcia Józefa” 1937 r., „O czym się nie mówi” 1939 r., „Przez łzy do szczęścia” 1939 r., „Testament profesora Wilczura” 1939 r., „Trzy serca” 1939 r., „Złota maska” 1939 r., „Chłopskie ręce” film dokumentalny 1946 r., „Sprawa do załatwienia” 1953 r. i filmy krótkometrażowe.

Operetki, komedie muzyczne, wedywile: „Inspekcja w garnizonie” (jednoaktowa operetka), „Szkoła haftu”, „Cnotliwy gubernier”, „Roztrzępana Kazia”, „Gwiazda Kaukazu” (trzyaktowa, 1910 rok, ▶

Zygmunt Wiehler



Teatr im. Wyspiańskiego w Katowicach 1937



Zizi Halama i Feliks Parnell

Feliks Parnell, Berlin 1936



libretto Turski), „Niebieski ptak” (jednoaktowa, 1930 rok dla „Qui Pro Quo”), „Amerykanka” (libretto A. Włast).

Komedie muzyczne: „Dziewczyna i hipopotam” (Wielka Rewia, adaptacja K. Tom), „Dziewczyna z Marymontu”, „Rycerz szalony” (Łódź, 1949 r., libretto Maciej Słomczyński), „Oberżyska” i muzykę do komedii A. Musseta „Kaprysy Marianny”.

Wodewile: „Tajemniczy nieznajomy” (wg „Majstra i czeladnika”, prapremiera 16.03.1960 r.), „Ja tu rządzę” (wg wodewilu Wincentego Rapackiego 1961 r.), „Cyruлик Warszawski (libretto Zbigniew Kuthan) i operetka w czterech aktach „Ułani księcia Józefa” (libretto Julian Krzewiński).

Gdybym chciał wymienić największe przeboje Zygmunta Wiehlera to musiałbym poświęcić jeszcze kolejnych kilka stron. Moje ulubione to 3 piosenki z tekstem Jurandota z filmu „Ada to nie wypada” (piosenka tytułowa, „Tak jak ty”, „Nie kochać w taką noc to grzech”), „Tomasz” (tekst Orland), „Walca tańczy cały świat” (z tekstem E. Schlechtera), „M.D.M” z filmu „Sprawa do załatwienia” z tekstem Gozdawy i Stępnia, „Malańki znak” (K. Wolińskiej), „List zza oceanu” (J. Tuwima), „Ja umiem kochać”, „Dulcinea” (Własta).

Piosenki Wiehlera śpiewali prawie wszyscy piosenkarze i aktorzy przedwojenni, a po wojnie: S. Przybylska, I. Santor, M. Fogg, L. Sempoliński, P. Szczepanik, M. Wojnicki, J. Połomski.

Zygmunt Wiehler urodził się 120 lat temu. Zmarł 33 lata temu 26 grudnia 1977 roku.

Myślę, że jego piosenki będą jeszcze długo nas cieszyć i tak mi się marzy, żeby któryś z choreografów odtworzył niezapomniane, dające tancerzom pole do popisu – miniatury baletowe Parnella i Wiehlera.

Zbigniew Rymarz